

ŻOŁNIERZ POLSKI



Dostojny Gospodarz
Państwa Polskiego
Pan Prezydent Rzeczypospolitej
prof. dr. Ignacy Mościcki



**DEKADOWY
PRZEGLĄD
WAŻNIEJSZYCH
WYDARZEŃ**

Nauka polska znów zanotowała nowe wydanie w swym chlubnym dorobku. Oto jeden z naszych uczonych, **PROFESOR UNIwersYTETU WARSZAWSKIEGO STANISŁAW WĘDKIEWICZ, POWOŁANY ZOSTAŁ NA CZŁONKA STAŁEGO KOMITETU LITERATURY I SZTUK PIĘKNYCH W LIDZE NARODÓW.**

Zaszczytne to wyróżnienie naszego uczonego stanowi niezaprzeczony dowód wysokiej oceny naszego świata nauki ze strony zagranicy.

Czasy, w których Polak, nie mając własnego państwa, pracował na rachunek obcych, zaborców, minęły bezpowrotnie. **DZIŚ LAURY ZDOBYTE PRZEZ POLAKA NA POLU NAUKOWYM, SPORTOWYM CZY JAKIMKOLWIEK INNYM, PRZYNOSZĄ CHLUBĘ NARODOWI POLSKIEMU I JEGO OJCZYŹNIE — POLSCE.**

Kiedy więc w czasach niewoli dorobek polski bogacił obce kultury, a nazwiska polskie, zaopatrywane w przydomki niemieckie czy rosyjskie, nic nikomu o Polsce nie mówiły, dziś świat raz po raz dowiadyuje się, że są to synowie czy córki wielkiego, niepodległego kraju, któremu znów przywrócił należne imię w rodzinie narodów Wielki Marszałek.

NIE MASZ DZIŚ KRAJU, W KTÓRYM NIE WIEDZIANO BY O POLSCE, dającej znać o sobie bądź banderą z orłem białym, dumnie łopoczącym gdzieś na dalekich wodach, bądź jakimś wyczynem Jej narodu, czy pojedynczych obywateli, przedstawicieli państwa czy wojska, świata nauki czy sztuki i tak dalej.

Ostatnie dni przyniosły nam znów wiadomość, świadczącą o tym, że **DZIŚ POLSKI NIE BRAKNIĘ NIGDZIE TAM, GDZIE SIĘ ZBIERA WIELKA RODZINA LUDÓW CYWILIZOWANYCH.** Oto do Kairu w Egipcie przybyła nasza wyprawa naukowa, by wziąć udział z ramienia Polski w pracach wykopaliskowych. Wyniki tych prac, w których uczestniczą naukowcy wszystkich kulturalnych narodów świata, wskrzeszają najstarsze znane nam cywilizacje ludzkie sprzed paru tysięcy lat.

Może poszczęści się naszym uczonym i w tej dziedzinie, a wynik ich prac przysporzy nowej sławy naszej nauce i Polsce.

Kiedy Polska odzyskała wolny dostęp do morza, nie bardzo wierzone powszechnie w świecie w skuteczność naszych na tym morzu poczynań. Polacy dawniej nie lubili morza, nie chcieli, a i nie umieli wyciągnąć korzyści z je-

go posiadania. Takie też mniemanie dotrwało do ostatka o nas i stąd owo niedowierzanie innych w naszą zaradność na morzu.

Ale rychło przekonał się świat o swej pomyłce. Polska odrodzona pokazała, że i na morzu gospodarzyć potrafi nie gorzej od innych. Koroną tych poczynań stała się Gdynia, dziś pierwszy port na Bałtyku. Teraz, gdyśmy już mieli to „okno na szeroki świat“, reszta poszła szybko. Obecnie nasza bandera handlowa zna na jest niemal na wszystkich wodach, u brzegów prawie wszystkich lądów.

Gdy marynarka wojenna przynosi zasadniczo w czasie pokoju korzyści powiedzmy moralne, służąc celom polityki zagranicznej, której jest wspólną z resztą sił zbrojnych najlepszym poparciem, marynarka handlowa przynosi znów korzyści głównie materialne, gospodarcze.

Jakież to korzyści materialne daje nam nasza marynarka handlowa?

Dla przykładu weźmy rok ubiegły. Wedle obliczeń za pierwszych tylko 10 miesięcy tego roku wpływy za przewóz towarów wyniosły około 16 milionów złotych, w przewozie pasażerów około 13 milionów (nie licząc w tym wpływów z ruchu przybrzeżnego), a wpływy z wycieczek morskich około 2 i pół miliona. Od początku istnienia naszej marynarki handlowej wpływy te przekroczyły już liczbę 200 milionów złotych. Naturalnie znaczny procent z tej sumy odchodzi na wydatki na tę marynarkę, nie mniej przeto pozostała suma stanowi poważną pozycję w obliczeniach naszego handlu zagranicznego, jak dotąd kształtującego się stale pomyślnie dla nas.

Nic więc dziwnego, że w opracowanym obecnie planie, który ma służyć za podstawę przy rozbudowie naszego gospodarstwa narodowego w najbliższych czterech latach, przewidziane też zostało poważne zwiększenie taboru marynarki handlowej, co niewątpliwie wzmoże znów dochody państwa w tej dziedzinie. Dotyczy to zarówno statków pasażerskich i towarowych, obsługujących nasze linie, jak i mniejszych jednostek dla usprawnienia ruchu w naszym porcie.

Niechże ta dalsza rozbudowa naszego gospodarstwa morskiego stanie się nowym wyrazem potwierdzenia, że **POLSKA UMIE NALEŻYCIEM KORZYSTAĆ Z DOBRODZIEJSTW MORZA.** Nie stać nas dziś jeszcze na wielkie przedsięwzięcia w tym względzie, ale w ramach możliwości nie zaniedbujemy niczego, aby przyszłe pokolenia nie musiały się nas wstydzic, aby nie musiały znów zaczynać z niczego.

W DNIU IMIENIN PANA PREZYDENTA

Po jedenastu już prawie latach rządów Prezydenta Ignacego Mościckiego cała Polska zdaje sobie sprawę, jak wielkiej wartości człowiek stoi dziś na jej czele. Pan Prezydent dał się poznać całemu narodowi nie tylko, jako ten, który godnie piastuje ciężki obowiązek reprezentowania majestatu państwa wobec swoich i obcych, ale również, jako człowiek czynu, biorący na siebie w wielu wypadkach trud kierowania rozbudową pomyślności i potęgi Polski.

Całe życie Prezydenta Mościckiego przysposabiało Jego piękny i hartowny charakter do tego, by stał się jednostką kierowniczą w wielkim zadaniu organizowania i rozbudowywania Polski. Lata młodości, prócz gruntownego wykształcenia technicznego, wyrobiły w nim niezłomną ideowość i zdolność do zupełnego poświęcenia się służbie narodu. Jako bojownik przeciwko caratowi rosyjskiemu po paruletniej pracy rewolucyjnej, w której niejednokrotnie ryzykował nie tylko wolność, lecz i życie, zmuszony był emigrować za granicę. Z początku bawił w Anglii, gdzie pracą fizyczną zarabiał na życie swoje i rodziny. Przeniósłszy się potem do Szwajcarii, zajął się pracą naukową, a jako zdolny i wykształcony chemik dokonał niebawem całego szeregu wynalazków, mających doniosłe praktyczne znaczenie dla przemysłu. Praca jego mogła mieć teraz powodzenie finansowe, wynalazki jego uzyskiwały coraz większy popyt. Widoki osobistego wzbogacenia się stanęły przed dzisiejszym naszym Panem Prezydentem.

Ale czynny bojownik wolności odrzucił z pogardą te możliwości. Ukochaną wiedzę swoją chciał poświęcić wyższemu celowi. Zapragnął działać na polskiej ziemi i dla Polski.

Powrót do zaboru rosyjskiego był dlań zamknięty. Powrót do Polski umożliwiła dopiero Politechnika Lwowska, ofiarowując Mu stanowisko profesora na wydziale chemii technicznej. Oprócz pracy naukowej i nauczycielskiej na politechnice, rozpoczął profesor Mościcki we Lwowie odrazu i pracę organizatorską. Założył Instytut Badawczy, który miał jego wynalazki naukowe wszechstronnie doświadczać i przysposabiać do zastosowania w przemyśle polskim, a poza tym miał szkolić nowych młodych pracowników. Przedsięwzięcie to powiodło się. Przez szereg lat przed wojną przemysł polski w b.

Galicji korzystał z prac prof. Mościckiego i Jego Instytutu.

Po wojnie, gdy państwo polskie wraz z odzyskaniem Górnego Śląska otrzymało wielką fabrykę związków azotowych w Chorzowie, rząd powierzył prof. Mościckiemu uruchomienie i kierownictwo tą fabryką, posiadającą pierwszorzędne znaczenie dla rozwoju rolnictwa (nawozy sztuczne) i dla obrony państwa (materiały wybuchowe). Zadanie to wypełnił prof. Mościcki znakomicie — i wtedy już każdy świadomy rzeczy człowiek wiedział, że w dziedzinie nie tylko technicznej znajomości rzeczy, ale i organizacyjnego opanowania kierownictwa i prawdziwie państwowotwórczego rozumienia przemysłu nie masz w Polsce człowieka nad prof. Mościckiego.

Kiedy po przewrocie majowym w r. 1926 Marszałek Piłsudski z powrotem doszedł do rządów w Polsce, wtedy przy wyborach nowego Prezydenta Rzeczypospolitej zaproponował Zgromadzeniu Narodowemu kandydaturę prof. Mościckiego. Znał go już od dawna, jeszcze jako czynnego bojownika wolności, zarówno w kraju jak i w Londynie oraz w Szwajcarii, kiedy sam również był wygnańcem i tułaczem politycznym, kiedy podtrzymywał z nim stosunki i serdeczną przyjaźń. Oceniał bezgraniczne jego oddanie się sprawie polskiej, zdolności fachowe i organizacyjne i rozumną bezstronność w walkach partyjnych, które miały narodem polskim przed i w czasie wojny, a również i po zdobyciu niepodległości. Zrozumiał, że dla takiego człowieka nie ma nigdy zbyt szerokiego pola działania i że w okresie, gdy Polska jak najszybszym tempem podjąć musi rozbudowę swojego życia gospodarczego, taki człowiek u steru państwa będzie nieoceniony.

Gdy więc w maju 1935 r. Marszałek Piłsudski zamykał powieki, ufny był, że P. Prezydent, zbrojny w nową konstytucję, poprowadzi Polskę ku jasnej przyszłości.

Toteż, gdy zbliża się oto dzień 1 lutego, dzień imienin Pana Prezydenta, cały naród, a z nim i żołnierz polski, któremu tyle uwagi w pracy swej Dostojny Solenizant poświęca, dąży ku Niemu myślą i niesie gorące życzenia wszelkiej pomyślności i jak najowocniejszej pracy dla dobra Rzeczypospolitej.



N A P I S A Ł
 S T A N I S Ł A W
 J A N U S Z K O
 S T R Z E L E C
 Z K O M P A N I I
 Z A M K O W E J

foć. W. Pikiel

*Okute daszki, orły duże,
 Postawa tęga, odzież nowa,
 A buty, całe w politurze,
 Kto to? Kompania to zamkowa.*

*Gdy idzie, to aż ziemia dudni,
 Aż się pobliskie trzęsą mury;
 Panienki szepcą, jacy cudni!
 Z zachwytem patrząc na nas z góry.*

*Piersi podane, krok rąbany,
 Broń jednocześnie, głośno szczęka,
 Bo chwyt tak każdy wykonany,
 Jakby robiła jedna ręka.*

*O bądź spokojny, Prezydencie,
 Gdy taka czuwa straż przy Tobie,
 Żadne pomysły, złe, zwierzęce,
 Nie mogą szkodzić Twojej Osobie,*

*Gdyż na poświęceń swym ołtarzu,
 Złożymy chętnie żywot młody;
 Byle Cię, Wielki Gospodarzu,
 Ustrzec od wszelkiej złej przygody.*

*Dla dobra Polski i jej chwały,
 Niech Cię najdłużej Bóg zachowa,
 Tego wciąż pragnie naród cały,
 Z nim też kompania Twoja zamkowa.*

W ŻOŁNIERSKIEJ SŁUŻBIE U PANA PREZYDENTA

Służba żołnierska. Słowa, które działają elektryzująco na każdego młodzieńca, powołanego w szeregi wojska.

I na mnie przyszła ta chwila, gdy otrzymałem wezwanie stawienia się do służby wojskowej. Czułem się naprawdę dumny, gdy przeczytałem na karcie powołania, że zostałem wybrany spośród blisko ćwierć miliona mych rówieśników do Kompanii Zamkowej Prezydenta Rzeczypospolitej.

Całe przeszkolenie, które przechodziliśmy w pułku piechoty Legii Akademickiej, miało bardzo szybko. Nadeszły manewry. Manewry kosztowały mnie dużo wysiłku fizycznego, lecz nigdy nie narzekałem, gdyż wiedziałem, że i pot wylany podczas ćwiczeń, i niedojedzony obiad, i niedospiana noc, przerywana często alarmami, mają mnie przyzwycząić do warunków bojowych i uodpornić na wszystkie trudy. Każdy Polak, jako prawy obywatel swej ojczyzny, musi być każdej chwili gotów poświęcić swe życie dla niej. Przypomniałem sobie często, ile to trudów musiał ponieść nasz ukochany i nigdy niezapomniany Wódz, Marsza-

łek Józef Piłsudski, aby oswoodzić ojczyznę z przemocy wrogów. Rozmawiałem często z kolegami na temat bojów naszych Legionów i wszyscy oświadczaali, że każdej chwili są gotowi złożyć swe życie w obronie granic i niepodległości ukochanej ojczyzny.

Oczekiwaliśmy z ciekawością i utęsknieniem zakończenia manewrów i wcielenia nas w szeregi Kompanii Zamkowej.

Nadeszła wreszcie ta chwila. Przekroczyliśmy bramę naszych nowych koszar. Jakże czuliśmy się dumni, obejmując po raz pierwszy służbę na Zamku. Sama już zmiana warty tuż pod oknami Pana Prezydenta pozostawiła w sercu mym niezatarte wrażenie.

Mińły trzy miesiące i nadeszły pierwsze poza domem spędzone święta Bożego Narodzenia. Na kilka dni przed świętami wyjechałem z plutonem ochronnym do Spały. Jest to śliczna miejscowość, znana całej Polsce, jako miejsce bardzo częstego pobytu Pana Prezydenta. Byłem już tam kilka razy, ale teraz miałem spędzić tam święta Bożego Narodzenia, te naju-

roczystsze i najmilsze dla każdego Polaka-katolika święta.

Przyjechał Pan Prezydent — nadeszła wigilia. Wielką radość sprawił nam śnieg, który piękną białą szatą okrył drzewa, budynki oraz całą ziemię, pogrążoną w zimowym śnie. O godzinie 19 stanąłem z karabinem na ramieniu przed głównym wejściem do pałacyku. We wszystkich oknach błyszcząły światła. Służba przygotowywała kolację wigilijną dla Pana Prezydenta i najbliższego otoczenia. W mózgu mym działy się dziwne rzeczy. Przypomniał mi się dom rodzinny, rodzice i rodzeństwo, zasiadający do stołu wigilijnego. Drzewko wigilijne. Kolędy. Podarunki pod drzewkiem. Koledzy, którzy pojechali na urlop, siedzą teraz w ciepłym pokoju wśród swoich najbliższych...

Wtem — otwierają się drzwi pałacu. Prezentuję broń. W towarzystwie adiutantów oraz swego kapelana, księdza płk. Humpoli, wychodzi nasz Najwyższy Zwierzchnik Sił Zbrojnych Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej. Zatrzymują się wszyscy przede mną. W rękę Pana Prezydenta bieli się opłatek. Biorę do nogi broń.

I stało się to, o czym nawet marzyć nigdy nie mogłem. Najwyższy Dostojnik Państwa podzielił się ze mną opłatkami. Z najgłębszym wzruszeniem uściśnąłem Mu rękę. Łzy wzruszenia stanęły mi w oczach. Miałem uczucie jak gdyby serce zatknęło mi gardło. Słowa przemówić nie mogłem. Pan Prezydent uśmiechnął



...Pan Prezydent Rzplitej podzielił się ze mną opłatkami.
fot. W. Pikiel

się do mnie i powoli ruszył w stronę następnego posterunku.

— Prezentuj broń! Na ramię broń! Spocznij.

Wzruszenie minęło, ale czułem, że w głębi serca coś się zmieniło. I myśli moje nie krążyły już koło domu. Nie myślałem już o kolegach, którzy pojechali na urlop. Byłem szczęśliwy. Czułem się w tej chwili tak silny i odważny, że byłem gotów rzucić się z bagnetem w rękę na cały batalion nieprzyjacielski. Zrozumiałem dopiero teraz bohaterstwo swych przodków, którzy często na jeden gest lub słowo swego Wodza ginęli z uśmiechem na ustach.

Dalsze moje myśli przerwało przybycie zmiany posterunków. Po przybyciu na wartownię koledzy zasypali mnie pytaniami. Musiałem w dziesięć razy opowiadać im wszystko dokładnie.

Po pewnym czasie przybył ksiądz dziekan Humpola w towarzystwie adiutantów Pana Prezydenta i po złożeniu sobie wzajemnych życzeń zasiedliśmy do wieczerzy wigilijnej. W pięknie udekorowanej sali jadalnej zaśpiewaliśmy kilka kolęd. Większość kolegów pozostała tam przez dłuższy czas, ja zaś musiałem wracać na wartownię, aby dalej pełnić swą zaszczytną i honorową służbę.

Na drugi dzień po południu udałem się z kolegami na spacer do spalskiego lasu. Weszliśmy na polankę, w pośrodku której znajdowała się piękna choinka, obsypana śniegiem. Ucieszyliśmy się bardzo, gdy jeden z kolegów wyciągnął z kieszeni kilka paczek t. zw. „zimnych ogni“. Obwiesiliśmy nimi drzewko. Jak się zupełnie ściemniło zapaliliśmy naraz wszystkie. Był to naprawdę śliczny widok. Nagle, bez żadnej komendy, z głębi serc naszych popłynęła piękna, staropolska kolęda „Bóg się rodzi“.

Nie jestem w stanie opisać, ile wrażeń pozostawiły we mnie te święta Bożego Narodzenia. Wiem tylko, że takich podniosłych chwil już więcej w swym życiu przeżywać nie będę.

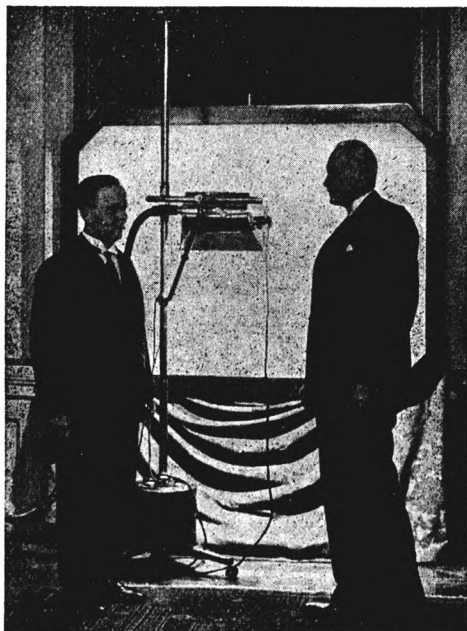
Coraz szybciej zbliża się już czas końca służby wojskowej i trzeba będzie zdać tę zaszczytną służbę w ręce kolegów młodszego rocznika. Sądzę, że i oni tak samo, jak kiedyś i ja, czekają z utęsknieniem chwili objęcia służby w Kompanii Zamkowej Prezydenta Rzeczypospolitej. Przyjdzie jeszcze czas, że trzeba będzie stanąć z bronią w rękę nie na honorowym posterunku, lecz w obronie granic umiłowanej ojczyzny i wtenczas odżyją w sercach naszych te wszystkie wspomnienia i biada wrogowi, który by śmiał wyciągnąć rękę chociaż po cząsteczkę tego co było, jest i będzie nasze.

strz. *Bogdan Thielman*
Komp. Zamk.

W ramach organizowanych przez Wojskowy Instytut Naukowo-Oświatowy M. S. Wojsk. audycji radiowych nadana będzie w dniu 1 lutego o godzinie 19 w wykonaniu żołnierzy Kompanii Zamkowej audycja żołnierska z okazji imienin Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.

WYNAŁAZKI PROF. IGNACEGO MOŚCICKIEGO

PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ



P. Prezydent na tle aparatu, który pozwala na stworzenie warunków leczniczych, upodobnionych do powietrza na wyżynach górskich. fot. W. Pikiel

Gdy w dniu imienin Pana Prezydenta Rzeczypospolitej umysły wszystkich Polaków zwróca się z serdecznymi życzeniami ku osobie Pierwszego Obywatela kraju, pamiętać winniśmy, że życzenia te składamy nie tylko Najwyższemu Zwierzchnikowi Państwa i jego sił zbrojnych, ale również wielkiemu uczonemu. Uczonemu, który swą niezamordowaną pracą całego życia, swymi wynalazkami rozślał imię Polski na całym świecie, a Ojczyźnie naszej przyniósł wielkie korzyści.

Swą pracę naukową i badawczą rozpoczął Ignacy Mościcki wkrótce po ukończeniu wyższych nauk, podczas dwudziestoletniego pobytu za granicą, do którego był zmuszony przez władze rosyjskie za swój gorliwy udział w pracach niepodległościowych.

W owych czasach, ściśle mówiąc w r. 1898, obiegła świat cały alarmująca pogłoska o bliskim całkowitym wyczerpaniu się saletry, dostarczanej światu przez kopalnie chilijskie *). Aby dobrze zrozumieć, co oznaczała ta wiadomość, dowiedzmy się, że owa saletra chilijska była wówczas zasadniczym nawozem sztucznym, stosowanym w rolnictwie. Jej użycie przy uprawie roślin powodowało znacznie większe zbiory, oznaczało z jednej strony dobrobyt rol-

nika, z drugiej zaś — możliwość wyżywienia wciąż wzrastającej w liczbę ludzkości. Jej zupełny brak wywołałby zatrzymanie rozwoju rolnictwa, a nawet mógłby zagrozić poważnymi zaburzeniami gospodarczymi. Dlatego też uczeni całego świata zaczęli przeprowadzać badania w celu zaradzenia grożącemu światu złu.

Nasuwały się przy tym duże trudności. Jednym z głównych składników saletry jest azot i właśnie uzyskanie tego składnika, ogromnie potrzebnego do nawozów sztucznych, stało się największą troską uczonych.

Pracę nad tym zagadnieniem podejmuje również inż. Ignacy Mościcki. Młody uczony uwagę swą zwraca na to, że przecież azot jest głównym składnikiem powietrza, że w otaczającej nas atmosferze są niewyczerpane jego zapasy. Chodzi tylko o wynalezienie technicznych sposobów wydobycia go z powietrza i to wydobycia w ilości wielkiej, umożliwiającej stosowanie go w przemyśle. Zagadnienie to okazało się bardzo trudnym i wymagającym opanowania wielu gałęzi wiedzy oraz wielu lat żmudnych wysiłków. Między innymi inż. Mościcki dla tego celu zajmuje się bliżej elektrotechniką i przy badaniach nad tą nauką dokonywa ważnego wynalazku specjalnych kondensatorów, to jest urządzeń, będących niejako zbiornikami wielkich ilości elektryczności. Kondensatory te po dalszych ulepszeniach zastosowane zostały jako bezpieczniki w sieciach przewodów elektrycznych. Wynalazek ten okazał się tak praktyczny, że dla wyrobu kondensatorów została założona we Fryburgu (Szwajcaria) specjalna fabryka, której całkowite urządzenie opracował Ignacy Mościcki. Wspomnieć bowiem należy, że Pan Prezydent Rzeczypospolitej we wszystkich swych pracach naukowych wykazał się w całej pełni jedną wielką, a rzadką u uczonych, zaletą: wszystkie swe badania i doświadczenia przeprowadzał zawsze z myślą o praktycznym zastosowaniu swych pomysłów, z myślą o możliwości stosowania ich na wielką, przemysłową skalę. Toteż tak się zwykle działo, że wynalazki prof. Mościckiego pociągały za sobą uruchomienie odpowiednich fabryk dla ich wykorzystywania. Tak było z fabryką we Fryburgu, tak też stało się w parę lat później, gdy otwarto inną fabrykę w Chip-pis (czytaj Szippi *).

Praca bowiem nad udoskonaleniem sposobu otrzymywania związków azotowych (tak nazywają się składniki chemiczne, zawierające ów poszukiwany azot) z powietrza trwała do

*) Chile (czytaj: Czili) — kraj w południowej Ameryce.

*) Miasto w Szwajcarii.

r. 1907. Pod koniec zaś roku następnego wynalazek ten prof. Mościckiego został uwieńczony przez rozpoczęcie budowy specjalnej fabryki, właśnie w Chippis, dla wyrobu kwasu azotowego. I tu również całą budowę i organizację fabryki wziął na siebie sam wynalazca. W roku 1910 fabryka wypuściła pierwszą cysternę kwasu azotowego, wyrobionego metodą inż. Mościckiego.

Niesposób tutaj wymienić wszystkich wynalazków Pana Prezydenta. Nie starczy na to choćby i długiego artykułu, pojęcie zresztą ich istoty wymaga wielkiego przygotowania naukowego. Wspomnieć jednak należy o jeszcze jednej myśli przewodniej, która przyświecała zawsze w pracy naukowej prof. Mościckiego. Była to myśl o Ojczyźnie, ustawiczna pamięć o tym, by wielkie zdobycze naukowe oddać na usługi przyszłej wolnej Polski, w której odrodzenie On, jeden z najbliższych towarzyszy prac Marszałka Piłsudskiego, mocno wierzył. Prof. Mościcki tedy, zawierając umowy, w których oddawał swe wynalazki do praktycznego użytku zagranicznym kapitalistom, w umowach tych zawsze zastrzegał sobie prawo osobnego wykorzystywania swych zdobyczy naukowych przez Polskę.

W roku 1913 rozpoczyna się nowy okres w życiu i pracy naukowej Pana Prezydenta. W roku tym bowiem zostaje zaproszony na Politechnikę we Lwowie, w której obejmuje stanowisko profesora. Bogaty w głęboką wiedzę i gruntowne doświadczenie, zdobyte w dwudziestoletniej pracy za granicą, rozpoczyna Ignacy Mościcki swą wielką pracę dla kraju, pracę nad rozbudową rodzimego przemysłu oraz nad wykształceniem całego szeregu młodych ludzi, mających dalej Jego dzieło prowadzić.

Obok więc wykładów na Politechnice, obok gorącego udziału w ówczesnych pracach niepodległościowych, które szczególnie w latach wielkiej wojny (1914 — 1918) nabierają na sile, rozwija działalność naukową i praktyczną. Współdziała więc przy założeniu Instytutu Badań Naukowych i Technicznych „Metan“ i czynnie w nim pracuje. Dokonywa jeszcze wynalazków, niezmiernie ważnych dla naszego przemysłu naftowego. Jednocześnie pracuje nad założeniem fabryki związków azotowych i pomimo wielkich trudności w ówczesnych warunkach wojennych doprowadza do tego, że fabryka taka powstaje w Jaworznie i rozpoczyna pracę. W fabryce tej urządzenia do otrzymywania związków azotowych wybudowane są według pomysłów i w zastosowaniu do metody prof. Mościckiego.

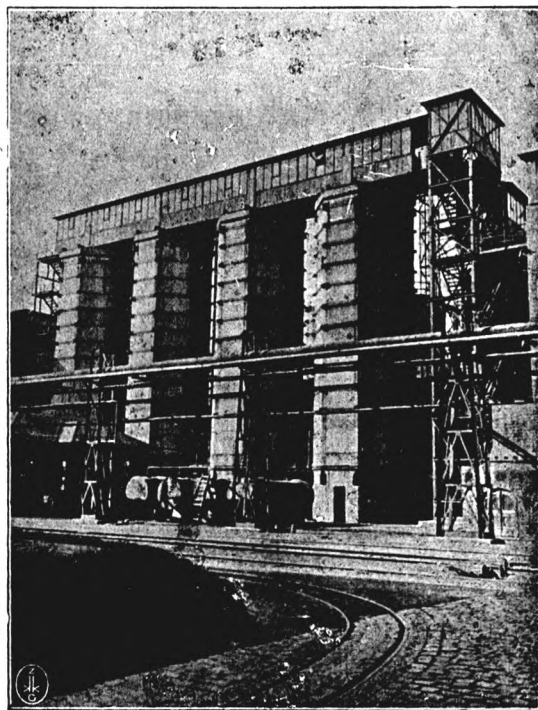
W r. 1922 rząd Rzeczypospolitej powierza prof. Mościckiemu trudne zadanie przejęcia od Niemców wielkiej fabryki chemicznej w Chorzowie. Niemcy pozostawili fabrykę z przekonaniem, że nie znajdzie się w Polsce nikogo, kto by potrafił ją uruchomić. Spalili plany, ogo-

łócili z surowców i niektórych narzędzi, a większość personelu technicznego, i to kierowniczego, opuściła Chorzów. W takim stanie rzeczy nawet młodzi, pełni energii, inżynierowie, przybyli do Chorzowa wraz z prof. Mościckim, zwątpili w możliwość uruchomienia Chorzowa. Nie zwątpił tylko On, kierownik i naczelny dyrektor grupy ludzi, którym powierzono trud powołania do życia tego olbrzyma przemysłowego, jakim był Chorzów. Swą pracą, opartą o głęboką wiedzę i wielkie doświadczenie, nie tylko fabrykę uruchomił, ale naprawił wiele błędów w urządzeniach niemieckich i wprowadził ulepszenia, dzięki którym zdolność wytwórcza Chorzowa zwiększyła się dwa i pół raza.

Stało się to z wielkim pożytkiem dla przemysłu polskiego, jak również z chwałą dla nauki polskiej za granicą, gdyż sprawą Chorzowa interesowały się obce kraje, nie bardzo wierząc w to, by Polacy dali sobie radę ze zniszczoną przez Niemców fabryką.

Na stanowisku kierownika Chorzowa pozostaje Profesor Mościcki do r. 1926, prowadząc jednocześnie wykłady na Politechnice. W dniu 1 czerwca 1926 r. Zgromadzenie Narodowe, idąc za wskazaniem naszego Wielkiego Marszałka, obrało prof. Ignacego Mościckiego Prezydentem Rzeczypospolitej.

Pomimo trudu obowiązków Najwyższego Zwierzchnika Państwa, jakie spoczywają na Jego barkach od tego czasu aż do dnia dzisiejszego, Pan Prezydent nie zrywa nigdy ze swą umiłowaną pracą zawodową. Oto w r. 1928 zostaje zakończona rozpoczęta jeszcze w r. 1922



Wieża, w której tlenek azotu zostaje wchłonięty z powietrza przez wodę i powstaje kwas azotowy.

praca przeniesienia ze Lwowa do stolicy **Chemicznego Instytutu Badawczego**, wielkiej instytucji, która z jednej strony prowadzi badania i doświadczenia naukowe, z drugiej strony wytwarza szereg produktów, niezmiernie ważnych dla sprawy obrony państwa. Wymienimy tu choćby **alkohol metylowy**, otrzymywany z gazu świetlnego, a używany jako **składnik paliwa motorowego**, a dalej: **kauczuk**, **węgiel aktywowany** (używany do pochłaniaczy masek gazowych), lub wreszcie **glin metaliczny** (aluminium), wytwarzany z krajowego surowca, a służący przy wyrobie samolotów i samochodów.

Według przekonania Pana Prezydenta Rzplitej fabryki w Jaworznie i w Chorzowie nie mogłyby wytworzyć dostatecznej ilości potrzebnych Polsce nawozów sztucznych. Dlatego Pan Prezydent rzuca myśl wybudowania **nowej wytwórni związków azotowych**, która też wkrótce przy Jego najżywszej współpracy powstaje pod Tarnowem, w miejscowości, którą dla uczczenia po wieczne czasy imienia **Profesora Mościckiego nazwano Mościcami**. Znalazły tu zastosowanie najnowocześniejsze urządzenia i metody pracy, oparte na wynalazkach Pana Prezydenta.

Również już jako Prezydent Rzplitej przeprowadził Prof. Mościcki doświadczenia nad otrzymywaniem **zupełnie czystego, wolnego od zanieczyszczeń i zarazków, powietrza w pomieszczeniach zamkniętych** i oddał bezinteresownie ten wynalazek tak ważny np. dla szkół i szpitali, do użytku ludzkości.

Oto w najkrótszych słowach skreślony obraz jakże bogatej i doniosłej działalności naukowej Pana Prezydenta Rzplitej. Znalazła ona należyte uznanie za granicą, znalazła **wdzięczność całej Polski**, która z dobroczynnych skutków pracy **Profesora Ignacego Mościckiego korzystać będzie przez długie, długie lata**.

*

W Warszawie, w Muzeum Przemysłu i Techniki przy ul. Tamka 1 w otoczeniu wielu ciekawych ekspozycji znajduje się osobna sala, poświęcona działalności naukowej Pana Prezydenta Rzplitej. Na wielu wykresach, na ciekawych modelach, na próbkach produktów, opisanych dokładnie i jasno, przedstawiony jest wyraźnie ogrom prac, dokonanych przez **Wielkiego Męża Nauki i Czynu**.

J. K—r



A. P.

Właśnie kompania stanęła na wzgórzu, skąd rozciągał się daleki widok na rdzawe już o tej porze pole i zmatowiałą zielenią drzew. Dookoła powiewał dziwny jakiś smutek, niechybny zwiastun jesieni.

Padły rozkazy, kolumna załamała się w półkole i na środek wyszedł dowódca kompanii wraz z innym, szpakowatym już oficerem. Ten wydał się bardzo sympatycznym. Skinął ręką i dwaj żołnierze wyprowadzili rwące się na smyczy psy.

— Dziś będziemy mieli wykład o łączności — powiedział obcy oficer. — Otóż w polu posługujemy się sygnalizacją wzrokową — za pomocą chorągiewek i tarcz, świetlną, lub używając

R E Z E R W A M A W Y K Ł A D O Ł Ą C Z N O Ś C I

do tego psów, specjalnie w tym celu tresowanych. Pies, moi kochani, jest tym sympatycznym towarzyszem człowieka, który mu oddaje różnorodne i nieocenione usługi.

— Może mi powiecie — zwrócił się do rezerwisty Spaleńca — do czego używamy psów? — Do polowania, panie poruczniku.

— A jeszcze do czego? — uśmiechnął się oficer, patrząc tym razem na Franka Obsypa, co w 1920 r. „krzyż walecznych“ sobie zdobył.

— Do pilnowania obejścia... — powiedział nieśmiało Obsyp, raptem zatracając pewność siebie.

— Kto wie, do czego jeszcze?

— W górach alpejskich, na przełęczy św.

Bernarda używane są do akcji ratowniczej. Są to ogromne, łagodne psy o długim owłosieniu i mądrych oczach, tak i nazywane San Bernardy. Używa się ich wtedy, gdy pojedynczy człowiek, a nawet cała wycieczka jest zasypa-
na przez lawinę, lub zabłądzi w tych lodowych pustaciach... — odezwał się któryś.

— Co to jest, ta lawina? — chciał zapytać Obsyp, ale odpowiedzi sypały się jak grad, a w miarę tego wzrastał szacunek żołnierzy do wszelkiego rodzaju piesków. Ani by kto przypuszczał, jakie to pożyteczne i zmyślne.

— W północnych krajach, gdzie zima jest znacznie dłuższa od lata, a konie nie mogą się uchować, zaprzęgają tamtejsi mieszkańcy po kilkanaście psów do sanek i jeżdżą na nich z wiatrem w zawody... — powiedział Obsyp, rad, że może się pochwalić swoją wiedzą.

— Widzę, że w polskich szkołach dobrze uczą. W dawnych zaborczych armiach z pewnością nie wiedzieliby żołnierze tyle co wy — powiedział porucznik. — Musicie jednak też wiedzieć, że w boju bardzo często zachodzi konieczność przesłania pilnego meldunku lub rozkazu wówczas, gdy wszelkie inne środki łączności zawodzą. Wówczas wysyłamy kogo?...

— Psa! — odpowiedziano z szeregu.

— Właśnie — psa. Specjalnie w tym celu tresowanego psa. Jak dalece pożytecznymi okazały się one podczas wojny świadczy fakt, że pod koniec wielkiej wojny sama niemiecka armia posiadała ich kilkanaście tysięcy. Pies ma nawet jedną niezawodną wyższość nad człowiekiem, posiada mianowicie...

— Instynkt! — wyrwało się Obsypowi.

— Świetnie. Kto to powiedział niech wystąpi.

Pod Obsysem nosi ścierń. Masz diabła kaptan! I potrzebował się pchać tam, gdzie go nie wołali? Zbliźnił się. W dodatku koledzy popychali go i szeptali:

— A toś się bracie wsypał!

Jednak wystąpić musiał. Zasalutował niezgrabnie, omal się nie przewracając na kępcę trawy.

— To wy jesteście takim zuchem? — powiedział przyjaźnie oficer. — A skąd wy to wiecie?

— Tak sobie, panie poruczniku — mruknął Franek Obsyp, czerwieniąc się jak piwonie.

Porucznik znów uśmiechnął się i, nie dając pozwolenia na odejście, ciągnął swój wykład dalej. Tak więc przed frontem kompanii stało ich trzech: dwóch oficerów i nieszczęsny Obsyp. Nieco dalej z boku paru strzelców, trzymających psy na smyczy.

— Otóż ten instynkt pozwala psu na wyczuć niebezpieczeństwa, skutkiem czego przesłanie meldunku przez naszego czworonogiego przyjaciela jest znacznie pewniejsze, aniżeli przez gońca bojowego. Chyba, że... chyba że



Tresura psów wojskowych w armii niemieckiej.

P. Ph. R.

zajdą nieprzewidziane wypadki... Ale o tym później. Narazie przeprowadzimy próbę...

— Mielczarek, zaczynajcie!

Jeden z żołnierzy wziął od porucznika jego pas oficerski, dał powąchać psu, którego następnie odwrócono pyskiem w przeciwną stronę, podczas gdy Mielczarek z pasem w garści zaczął co sił w nogach biec przez pole w kierunku położonego o 400 metrów sadu. Po drodze kluczył jak zając, plątał swe ślady, dopadłszy płota dwukrotnie wspinał się nań. Wreszcie przelazł na drugą stronę i wdrapał się na drzewo. Dwaj inni żołnierze zaczęli się wzdłuż drogi, którą przebiegł Mielczarek. Kompania patrzyła w skupieniu.

Wreszcie psa puszczono.

Zrazu zakręcił się z wielkiej radości kilka razy w kółko w pogoni za własnym ogonem, potem wężąc, ze łbem pochylonym ku ziemi, pomknął trop w trop za Mielczarkiem. Zaczęli żołnierze próbowali go odpędzić lub pojąć, lecz omijał ich unikając zbliżenia i możliwej walki. Oto dopadł już do sadu, oto skacze raz i drugi przez płot, budząc powszechne uznanie u widzów, — kiedy na ścieżce, prowadzącej z miasta, ukazała się jakaś pani w towarzystwie pieska.

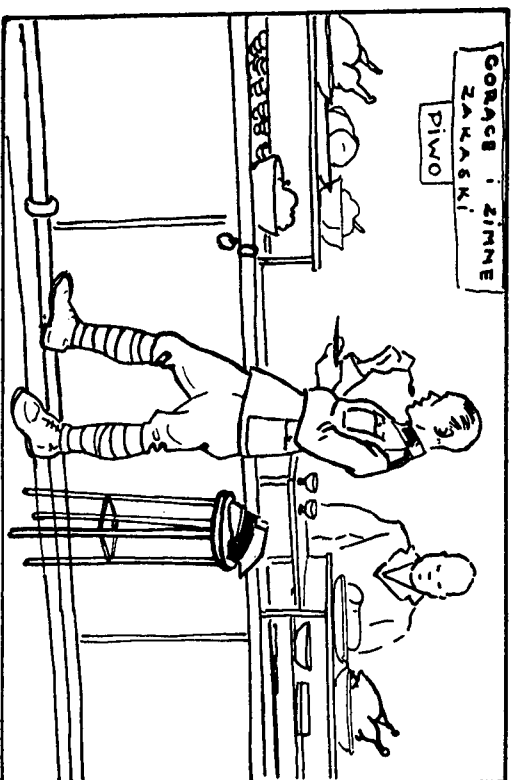
Raczej suczki, gdyż nasz czworonogi „towarzysz broni“, nasz „środek łączności“ zatrzymał się nagle, podniósł ogon (musiał przy tym uśmiechnąć się mile, po psiemu) i... zapominając o subordynacji wojskowej wcale niedwuznacznie udał się w psie konkury, ku zgorzszczeniu pani a chóralnemu, grzmiącemu śmiechowi kompanii.

Śmiali się i oficerowie, a wykładowca, zapalając papierosa, powtórzył:

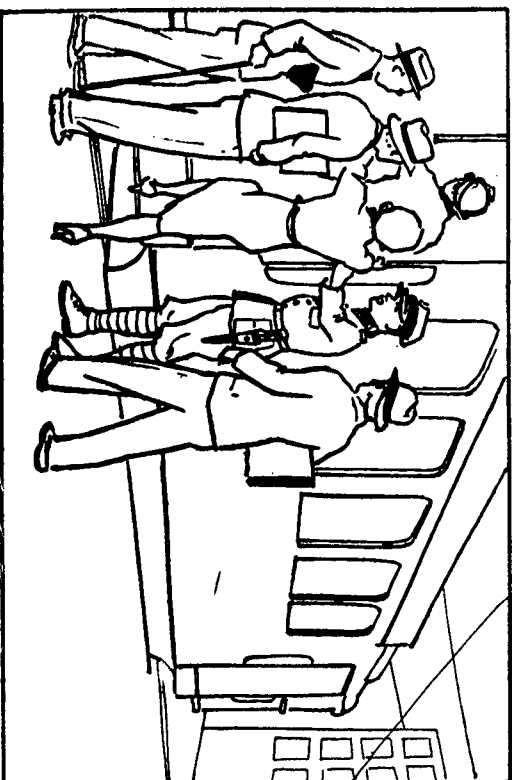
— ... Chyba, że zajdą nieprzewidziane wypadki...

Witold Wroński plut. rez.

DOB RZE

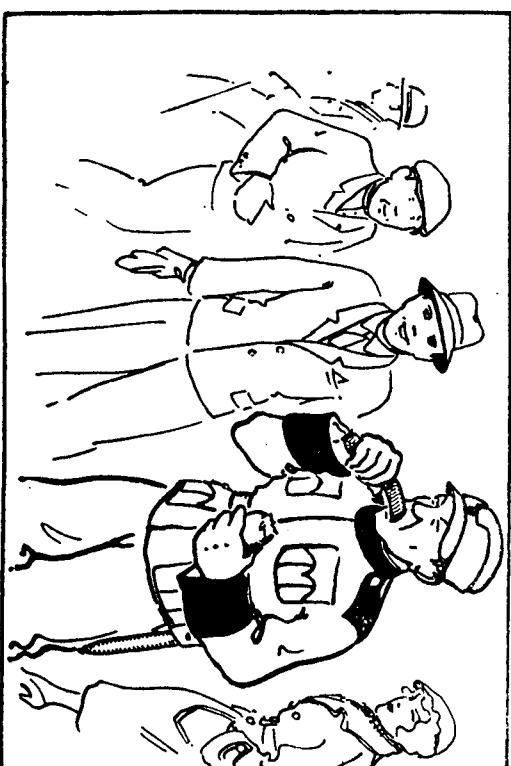


Gdy znajdziesz się poza koszarami, a zachce ci się jeść, wstąp do przyzwolonego lokalu i tam na miejscu gład zaspokój.



Uprzejmość wobec drugich, a w szczególności wobec kobiet i starszych wiekiem, powinna zawsze cechować żołnierza.

ŹLE!



Żołnierz, zajądający na ulicy, to widok zarówno przykry, jak i śmieszny, ujmę przynoszący mundurowi.



Brzydko to bowiem, gdy żołnierz nie umie się zachować i psuje dobre imię nie tylko swego oddziału, lecz i całego wojska.

O R K I E S T R A

słowa i melodia kpt. ADAMA KOWALSKIEGO



fot. kapr. Wąsowicz

Zagrała orkiestra wesolo a swojsko.
Oho ho, oho ho — maszeruje wojsko!
Maszerują chłopcy nasi malowani,
Oho ho, oho ho — sami wybierani.
Ożyło miasteczko, pełno w nim wesela,
Biegną wszyscy słuchać,
Jak wojskowa gra kapela!

Rozpoczyna pikulina, pikulina;

Pidli, pidli, dla!

Już waltornie dmą przekornie, dmą prze-
kornie;

Tata, tata, ta!

A pużony z drugiej strony, z drugiej strony:

Puza, puza, za!

Grube basy dla okrasy:

Bums, ta, dra!

Trąbki złote na ochotę, na ochotę.

Trada, rada, ra!

Klarynety dla podniety, dla podniety:

Turli, trurli, rla!

A werbelki na gwar wielki, na gwar wielki:

Pampa, rampam, pa!

A czynele na wesele:

Dziń, dziń, dziń!

Każda piękna panna żołnierzowi bliska,

Oho ho, oho ho — oczętami błyska,

Każda patryjotka chętnie zębki szczerzy,
Oho ho, oho ho — do polskich żołnierzy.
Słysząc piękne prośby Andzi, Wandzi, Janci,
Heli, Meli, Feli:

Zagrajcie nam, muzykanci!

Rozpoczyna pikulina i t. d.

Muzykanci świetni, a kapelmistrz morus,
Oho ho, oho ho — do swej roli dorósł.

Wie czego żądają uśmiechnięte twarze,

Oho ho, oho ho — niech pan zagrać każe!

Żartobliwie mruga, daje znak paleczką:

Grajcie chłopcy pięknie,

Niech raduje się miasteczko!

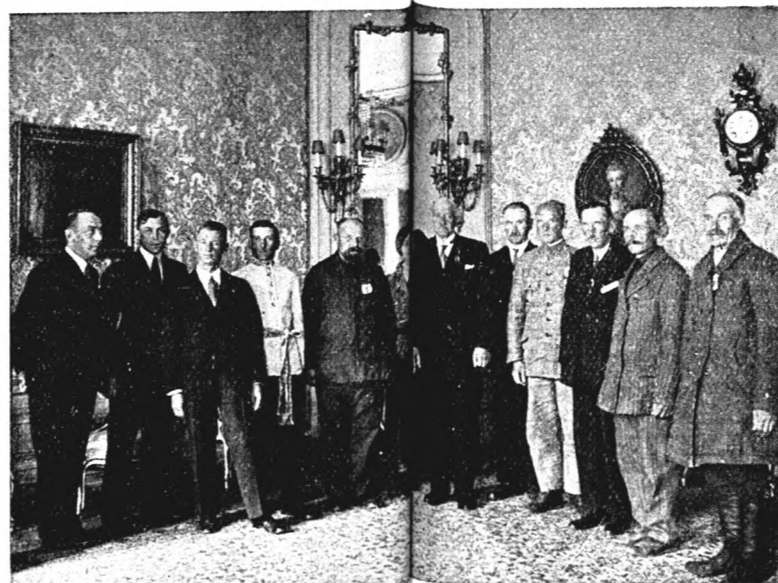
Rozpoczyna pikulina i t. d.

La - gra - ta ar - kies - tra we - so - ło a
Ma - sze - ru - ją chłop - cy na - si ma - ło
swoj - sko o - ho - ho, o - ho - ho
wa - ni o - ho - ho, o - ho - ho
ma - sze - ru - je woj - sko O - ży - ło mięs
sa - mi wy - bie - ra - ni
- tec - ko, peł - no w nim we - se - ła
Bieg - ną wszs - cy słu - chać jak woj - sko - wa
gra ka - pe - la Roz - po - czy - na pi - ku - li - na
Trąb - ki zło - te na o - cho - tę
pi - ku - li - na pi - dli pi - dli dla
na o - cho - tę tra - da ra - da ra
Już wal - tor - nie dmą prze - kor - nie dmą prze - kor - nie
Kla - ry - ne - ty dla pod - nie - ty dla pod - nie - ty
ta - ta ta - ta ta A pu - zo - ny
tur - li tur - li rla A wer - bel - ki
z dru - giej stro - ny z dru - giej stro - ny pu - za pu - za za
na gwar wiel - ki na gwar wiel - ki pam - pa ram - pa pa
Gru - be ba - sy dla o - kra - sy bums ta dra
A czy - ne - le na we - se - le dziń dziń dziń

PAN PREZYDENT ZECZYPOSPOLITEJ



Na mszy polowej.



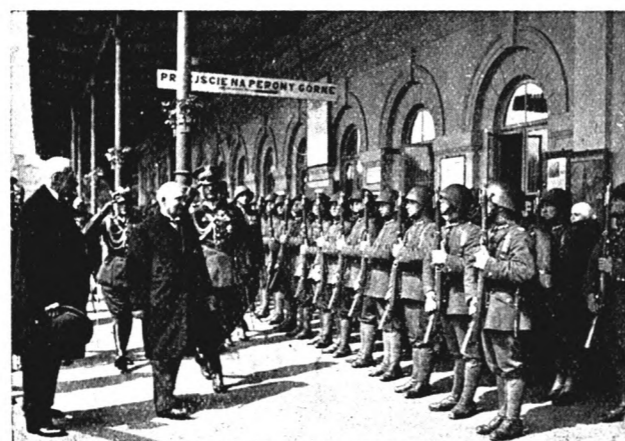
Wieżniacy z ziem wschodnich w gościnie na Zamku.



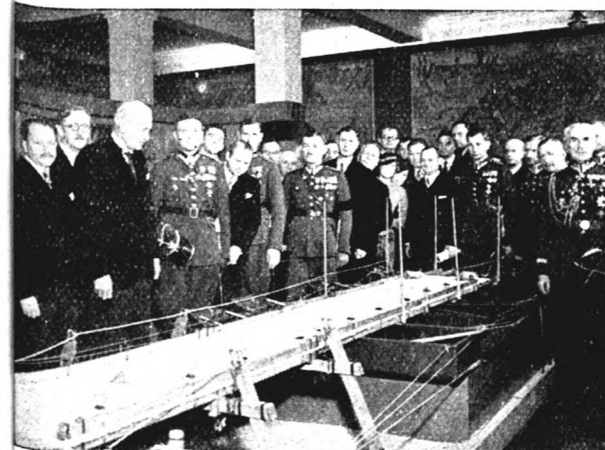
Dostojny gość w wiejskiej chacie.



Przyjęcie delegacji górników.



Z prezydentem Estonii przed frontem kompanii.



Na wystawie drogowej.



Delegacja strzelców Podhalańskich na Zamku.



Rozmowa z najmłodszymi.



Na procesji wśród ludu.



Na manewrach.

fotografie W. Pikiela



SPORT ŻOŁNIERZA

Dlaczego żołnierz powinien uprawiać gry sportowe?

Oto cechy, które przekonają największego niedowiarka o potrzebie uprawiania koszykówki i siatkówki!

Jan Łada

Zimą czy latem uprawiane są z zapałem gry sportowe: koszykówka i siatkówka. Cóż więc za przyczyna sprawia, że ten właśnie rodzaj sportu interesuje masy niezależnie od pory roku?

Mało miejsca — dużo ruchu

Otóż sęk cały leży w tym, że zarówno koszykówka jak i siatkówka wymagają **mało miejsca** na boisku czy sali. Niemal w każdym pułku nie brak placu do koszykówki z tablicami i koszami ani też małego prostokąta z dwoma słupami i siatką, stanowiącego plac do siatkówki. Mimo zajmowania tak niewielkich terenów, gry sportowe dają dużo ruchu, a przede wszystkim **dostarczają zdrowej rozrywki**.

Zalety koszykówki

Koszykówka jest sportem wybitnie męskim. Jednoczy ona w sobie wszystkie cechy, niezbędne do normalnego rozwoju mężczyzny.

A więc biegi z piłką lub bez, skoki do piłki i siłę (przy wyrzucaniu piłki i grze ciałem). Prócz tego przebywanie w ciągłym ruchu przez całe 40 minut (czas trwania gry) daje możliwość wyrobienia **wytrzymałości płuc, serca i mięśni**, tak niezbędnej dla żołnierza w czasie ciężkich marszów.

A siatkówka?

Główną zaletą siatkówki jest **szkolenie szybkiej orientacji**. Żołnierz, czy to w walce wręcz lub w strzelaniu, czy nawet w życiu codziennym musi umieć szybko się orientować i błyskawicznie wyciągać wnioski. I taka właśnie siatkówka, na pozór zabawa dla dzieci, wyrabia **szybką orientację** w stopniu bodaj większym niż wszystkie inne sporty. Kto szybko potrafi podążyć za lotem piłki, ten również szybko będzie umiał złapać nieprzyjaciela „na muszkę”. I to jest właśnie główna zaleta tej gry, pozornie dziecinnej. Szanujmy więc zalety obu gier. **Szybkość, skoczność, wytrzymałość, siła, bojowość, szybka orientacja, a wszystko to razem na małej przestrzeni i przy małym nakładzie kosztów.**

WYDARZENIA SPORTOWE W DN. 17. I.

Gry sportowe. Warszawa.

Mistrzostwo Polski w siatkówce zdobyła drużyna **Polonii (W-wa)** przed A. Z. S-em (W-wa — zeszlóroczny mistrz) i Sokołem ze Lwowa. W. K. S. Łódź zajął miejsce szóste.

Mistrzostwa drużynowe w boksie.

Lwów.

Okęcie (W-wa) pokonało lwowską **Lechię 9:7**.

Katowice.

Mistrz **Warta (Poznań)** z trudem zwyciężyła drużynę katowickiego **Ruchu 9:7**. Sensację stanowiła porażka Kajnara ze Ślązakiem **Maneckim** i dzielny opór, stawiany przez **Bieńka (Ruch)** mistrzowi **Sipińskiemu**.

Poznań.

H. C. P. — Gedania 15:1.

Ostrów.

I. K. P. (Łódź) — K. S. Z. O. (Ostrowiec) 8:8.

Narciarstwo.

Konkurs skoków we Lwowie wygrał zakopiańczyk **St. Marusarz** wynikami 49,5:50 m.

Hokej — Katowice.

Drużyna **Katowice** dwukrotnie pokonała vice mistrza **Szwecji Södertalie 2:0 i 2:1**.

SPORT ZA GRANICĄ.

Mistrzostwa piłkarskie świata odbędą się 15 lutego w Paryżu. Polska udziału nie weźmie.

Mecz bokserski o mistrzostwo świata wagi muszej między **Filipińczykiem Montaną** i Anglikiem **Benny** odbędzie się w początkach lutego.



Polonia (W-wa) mistrz Polski w siatkówce.

Szlakami Legii Cudzoziemskiej



Zdając sobie sprawę z zainteresowania się naszych Czytelników warunkami służby w Legii Cudzoziemskiej, drukujemy urywek z pamiętnika sierżanta — Polaka, który na jesieni r. 1936 został zwolniony z Legii „do cywila“.

Redakcja.

W sierpniu przechodząc przez miejscowość, zwaną „Tilougith“ (czyta się Tilugit), napotkaliśmy Araba, prowadzącego wielbłąda, który miał na grzbiecie wielką budę, przybraną różnokolorowymi wstążkami i kawałkami materii. Nasz kapitan, chłop młody i bardzo przy stojny, wiedział, że w takich budach przewożą tylko żony lub córki bogatych Arabów, więc kazał Arabowi się zatrzymać i pokazać co tam ma. Arab powiedział, że wiezie córkę „kaida“. Na rozkaz kapitana rozsunięły się firanki, zasłaniające wnętrze budy, i ukazała się główka ślicznej Arabki. Kapitan kazał jej zejść na ziemię, co uczyniła z widoczną chęcią. Uśmiechała się przy tym ładnie, pokazując rząd białych jak perły zębów. Każdego z nas, na ten widok, przeszedł przyjemny dreszczyk. Kapitan widząc, jak pożądliwym wzrokiem spoglądają na nią żołnierze, kazał jej wejść z powrotem, a wybrawszy kilkunastu żołnierzy dla eskorty, wsiadł na wielbłąda i odjechał w kierunku „bazy“. Arab sprzeciwiał się temu uprowadzeniu swej pani, lecz gdy mu dano parę monet, pozostał z nami.

Szliśmy dalej aż do wieczora. Z nastaniem zmroku zatrzymaliśmy się, aby rozpocząć budowę drogi.

Upłynęło dwa tygodnie, aż tu wrócił kapitan, oznajmiając, że się ożenił z Arabką. Cieszył się, że znalazł ładną i kochającą żonę. Pewnego dnia zauważyliśmy, że Arab, który prowadził wielbłąda, znikł. Szukano go na wszystkie strony, lecz daremnie. W dwa dni po zaginięciu Araba przyszedł posłaniec od „kaida“, prosząc,

aby go stawiono przed kapitanem. Odezwał się do niego w te słowa:

— Kapitanie! Mój pan kazał powiedzieć tobie, że jeżeli nie oddasz jego córki, napadnie na was i powycina.

Nie wiedzieliśmy, co mu odpowiedział kapitan. Arab wyszedł z obozu i udał się w góry. Wieczorem ujrzelśmy dookoła nas na górach płonące ognie i zrozumieliśmy, że jesteśmy okrążeni. Kapitan zarządził umocnienie wałów ochronnych, więc pracowaliśmy całą noc. Po-

ustawialiśmy karabiny maszynowe, czekając co będzie. Nie baliśmy się ataku, lecz tego, by nas nie trzymano długo w oblężeniu, gdyż amunicji mieliśmy wprawdzie dosyć, lecz prowiantu było zaledwie na 13 dni. Główna „baza“ nie mogła wiedzieć, gdzie się znajdujemy i nie mogła nam wysłać żywności, a choćby i wysłała, to karawana zamiast do nas wpadłaby w ręce Arabów. My ze swej strony nie mogliśmy w żaden sposób powiadomić bazę o naszym przykrym położeniu.

I tak byliśmy zdani na łaskę i niełaskę losu. Siedzieliśmy już trzeci dzień nie wychodząc na roboty; żywność była uszczuplona do minimum, byliśmy strasznie głodni, lecz nie było rady, jak czekać, aż któryś batalion lub kompania zabłądzi w te strony i uwolni nas. Na czwarty dzień kapitan zebrał nas i spytał, czy nie ma kogo, co by poszedł na ochotnika aby powiadomić bazę?

Wystąpiło dwóch. Kapitan dał każdemu z nich list i z nastaniem wieczora kazał wyruszyć. Gdy ściemniało dwaj ochotnicy zabrali ze sobą bagnety (karabinów nie chcieli brać, mówiąc, że będą im przeszkadzać, więc kapitan dał im rewolwery) i poszli. My prosiliśmy Boga, aby doszli szczęśliwie i wyratowali nas.

W nocy zazwyczaj połowa z nas spała, a druga czuwała, lecz tej nocy nikt nie spał, wszyscy byli na nogach. O północy usłyszeliśmy jakieś kroki i myśląc, że Arabi nas podchodzą, rozpoczęliśmy strzelać w tę stronę, a wtedy na jednej z otaczających nas gór rozległ się głośny śmiech Arabów. Nie domyślając się przyczyny tego śmiechu zaprzestaliśmy w końcu strzelania. Reszta nocy minęła spokojnie.

Gdy zaświtał poranek ujrzelśmy dwóch ludzi, leżących na ziemi niedaleko obozu. Kapitan kazał ich przynieść, więc ja i trzech towarzyszy poszliśmy na ochotnika. Pełzną na brzuchu dotarliśmy do nich. Jakież było nasze

zdziwienie gdy poznaliśmy w nich swoich kolegów, którzy poszli wieczorem. Jeden z nich był zabity, drugi zaś ranny. To myśmy ich tak ostrzeliwali, myśląc że to Arabi! Zabrawszy rannego na plecy pobiegłem z powrotem pod ostrzał Arabów. Skoro ranny po opatrunku mógł mówić, opowiedział, że po opuszczeniu obozu poszli w kierunku wąwozu, gdzie nie było widać ognia, myśląc, że tam nie ma Arabów, lecz zaledwie weszli w otaczające ten wąwóz krzaki, zostali schwytani, odebrano im broń, zakneblowano usta, związano ręce i odesłano ku naszemu obozowi, licząc mściwie, że obaj zginą z rąk swych towarzyszków...

Upłynęło 18 dni od chwili tej nieudanej wycieczki, wreszcie postanowiłem wyruszyć na ohotnika. Byłem strasznie wycieńczony przez ciągle niedojadanie, a i reszta ludzi nie była lepsza ode mnie. Udałem się więc do kapitana, meldując mu o swym zamiarze. Kapitan zrazu nie chciał mnie puścić, w końcu jednak zezwolił na to abym się udał, lecz nie sam, a co najmniej we trzech. Namówiłem tedy jeszcze dwóch kaprali, Niemców, którzy stale się chwaliли, że się niczego nie boją. Na siebie i swoje siły nie pokładałem wielkiej nadziei, lecz mimo to byłem zdecydowany na wszystko.

Wieczorem zabrałem duży nóż arabski i rewolwer, Niemcy wzięli bagnety i rewolwery. Wyszedszy za obóz powiedziałem im, żeby każdy szedł w inną stronę. Nie chcieli się zgodzić, lecz gdy zauważyłem, że będziemy zawadzać jeden drugiemu o ile pójdziemy razem — przyznali mi rację i udaliśmy się każdy w swoją stronę.

Kierowałem się prosto na górę, gdzie świeciły ognie. Doszedłszy do podnóża góry zacząłem się czołgać na brzuchu i po chwili ujrzałem cień stojącego Araba. Przyczaiwszy się w krzaku czekałem na zmianę, lecz zmiany jakoś długo nie było. Arab stał nadal, kiwając się z boku na bok. Wtem usłyszałem kobiecy głos wołający z daleka: „Jusuf! Arûa minna!“, co znaczy: Józef! Chodź tutaj!

Stojący przede mną Arab krzyknął: „Ua“!, oznacza to, że — nie. Podziękowałem Bogu za to, że się dowiedziałem jego imię i, poczekawszy chwilę, stanąłem na nogi za krzakiem, wołając po cichu: „Jusuf, arûa minna“! Arab zwrócił się w moją stronę, zbliżając się do krzaka na odległość jednego kroku. Nie tracąc ani chwili wyskoczyłem i jednym zamachem przeciąłem mu gardło.

Padł, wydawszy krótki i urywany charkot. Zadrzał w konwulsjach, a potem wypuścił ostatni dech. Pierwszy to raz musiałem zabić człowieka własnymi rękoma. Jest to bardzo nieprzyjemna rzecz, ale nie było innej rady, jeden z nas musiał być zabity.

Następnie znów popelzłem. Widocznie nie było dalej warty, bo nie napotkałem ani jednego Araba, natomiast ognie i namioty ich by-

ły w odległości stu metrów; skrzyłem więc w lewo, kierując się w stronę wąwozu w tym przypuszczeniu, że na tej odległości strażnicy nie ma. Wreszcie wydostałem się na wolną przestrzeń i poszedłem na wschód, spodziewając się w tej stronie znaleźć „bazę“.

Tak wędrowałem cztery dni. Jakie katusze przeżywałem podczas tego marszu — trudno opisywać. Byłem straszliwie głodny i okropnie wyczerpany, a na czwarty dzień nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Były nabrzmięte podobnie jak i ręce. Usiadłem pod skałą, aby nabrać sił. Wtem z dala doszedł mnie odgłos ludzkiej mowy, chciałem się zerwać, lecz ani ręka ani noga nie ruszyły się z miejsca. Zacząłem krzyczeć, nie myśląc o tym, że mogli to być Arabi. Po chwili usłyszałem zbliżające się kroki. Byli to rzeczywiście Arabi, lecz pełniący służbę we francuskich wojskach kolonialnych.

Opowiedziałem sierżantowi, który ich prowadził, że moi towarzysze są otoczeni, a ja idę powiadomić o tym pułkownika, dodałem również, iż cztery dni nie miałem nic w ustach. Sierżant dał mi swoje śniadanie. Spalaszowałem je odrazu. Widząc, że nie mogę ruszyć się, kazał mnie wsadzić na muła i ruszyliśmy do „bazy“. Maszerowaliśmy całą noc, na drugi dzień koło południa dotarliśmy na miejsce. Sierżant natychmiast zameldował o wypadku ze mną pułkownikowi. Pułkownik kazał mnie przyprowadzić, lecz gdy sierżant zwrócił uwagę, że nie mogę się ruszać, przyszedł sam. Wysłuchawszy meldunku rozkazał, aby samolot z prowiantem udał się na poszukiwania i w razie gdyby ich znalazł, by rzucił żywność.

Upłynęło dwa dni, poszukiwania nie dały żadnego wyniku. Trzeciego dnia pułkownik zawezwał mnie do siebie, pytając, czy jestem zdrowy? Powiedziałem, że tak.

— Czy znacie drogę, którą żeście szli z bazy?

— Pamiętam ją dobrze.

— No, to udacie się z dwiema kompaniami, aby odszukać wasz oddział.

Gdy mi to powiedział, struchlałem.

— Panie pułkowniku! — zameldowałem — Ja nie chcę brać odpowiedzialności za tyłu ludzi. Niech się co stanie to ja mam odpowiadać? Jestem przecież tylko kapralem.

— Nie obawiajcie się nic — powiedział pułkownik — nie jesteście już kapralem, lecz sierżantem, zostaliście podani do nominacji, a ponieważ jesteście bardzo sprytni, powierzam wam to trudne zadanie!

— Rozkaz, panie pułkowniku!

Gdym wychodził, na progu potrafiła mnie jakaś Arabka. Nie zauważyłem jej twarzy, bo ją zakryła do połowy.

Wyszedszy na dziedziniec, spytałem dyżurnego oficera, które kompanie mają iść ze mną, a gdy mi je wskazał zebrałem żołnierzy i powiedziałem im, co mamy robić i dokąd iść. I'ó



Tak zwana baza, czyli obóz Legii Cudzoziemskiej u podnóża gór (na lewo) i żołnierze Legii, budujący w piekielnym skwarze pod kulami Berberów drogi w skalistych pustkowiach północnej Afryki.

tym przemówieniu kazałem wystąpić Polakom. Okazało się, że z 345 ludzi było 132 Polaków. Zwróciłem się do nich, mówiąc krótko, że na nich polegam więcej niż na innych. W trakcie tego podszedł pułkownik z Arabką. Poznałem w niej żonę naszego kapitana. Prosiła aby ją zabrano, gdyż chciała ujrzeć swego męża.

Wieczorem wyruszyliśmy tą samą drogą, którą poprzednio prowadził nas kapitan. Zbliżając się do miejsca, w którym mieli się znajdować Arabi, oblegający naszą kompanię, zarządziłem wielką ostrożność i ciszę. Szliśmy więc cichutko aż do wąwozu, gdzie zatrzymałem oddział, sam zaś wlałem na zbocze, aby zobaczyć co tam się dzieje. Przypuszczałem, że ujrzę ognie, lecz mrok i cisza były dookoła. Wyszliśmy wobec tego na dolinę, a stamtąd ruszyłem wolno ku miejscu, gdzie znajdował się obóz. Przez chwilę przypuszczałem, że „kaid“, dowiedziawszy się, iż córka jego pozostała w mieszkaniu kapitana w Tadli, odszedł, pozostawiając kompanię w spokoju. Raptem potknąwszy się o coś miękkiego, runąłem jak długi. Obmacałem ręką to coś, trafiając na guzik. Jak błyskawica przeszła mi przez głowę myśl: „Wycięli ich!“! Zerwałem się na równe nogi i kazałem czym prędzej rozpalić ogień. Przy coraz lepszym świetle ukazywał się przerażający widok.

Dookoła leżały ciała pomordowanych żołnierzy, wszyscy byli martwi. Córka „kaida“ szukała między zabitymi kapitana, swego męża, a znalazwszy, padła na nie ze szlochem. Uspokoiwszy się wreszcie wstała i wyjęła zza pasa duży nóż arabski. Oskoczyłem od niej, myśląc, że chce mnie zabić, lecz ona z jakimś dziwnym uśmiechem powiedziała, że nie spocznie, dopóki się nie zemści na zabójcy jej męża; nawet gdyby to był jej ojciec, to jego krew splami ten nóż.

Potem wyluszczyła mi swój plan działania: kompanie miały się ukryć we wskazanym przez nią miejscu, ona zaś postanowiła udać się do Arabów i sprowadzić ich w pułapkę. Zażądała,

aby zabić wszystkich prócz jednego, który będzie szedł z nią, miał to być sprawca śmierci jej męża. W oddali w kazbie (dom arabski) widać było liczne ognie. Wskazując na nie powiedziała, że tam są sprawy tej strasznej rzezi. Poszła w tym kierunku. Pozostawszy sami zabraliśmy się do zbierania ciał. Było ich 93, pozostałym zapewne udało się uciec.

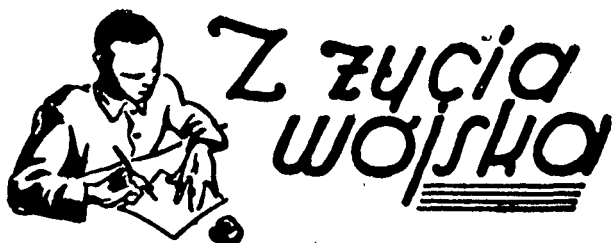
Miejscem zasadzki był most długości 108 metrów. Po obu stronach drogi, prowadzącej przez most, były gęste krzaki. Tu mieliśmy się przyczaić, co też uczyniliśmy. Rozpoczęło się denerwujące oczekiwanie, które trwało aż do południa następnego dnia. Wreszcie rozległy się śpiewy Arabów. Drgnęliśmy, szykując się do ataku. Już widać było ich głowy ponad krzakami. Na przedzie szedł „kaid“ ze swą córką, a za nimi mała grupa uzbrojonych Arabów. Czekaliśmy aż wejdą na most, legionisci mieli wyskoczyć na mój strzał. Wziąwszy „kaida“ na muszkę, celowałem w jego nogę i z odległości jakichś 30 metrów — strzeliłem. Kaid chwycił się za nogę i usiadł, a Arabi stanęli jak wryci. Wówczas czterech legionistów wyskoczyło, uprowadzając rannego w krzaki, córka poszła za nimi. Arabi widząc to rozpoczęli strzelać im w ślad, lecz gdy ujrzeli legionistów, wychodzących z obu stron, po krótkim zamieszaniu poustawiali się poza sprzętami mostu otwierając ogień. Poukrywaliśmy się poza kamieniami i zaczęliśmy ich tępić. Powoli jeden za drugim padali na most lub do rzeki. Pozostało jeszcze trzech czy czterech i ci poddali się.

Gdzież jest wódz tej zbrojeckiej bandy? Ujrzałem go leżącego na ziemi, córka stała obok. Zauważyłem obok „kaida“ ciemną plamę na piasku. Podszedłszy bliżej widzę, o zgrozo!, kaid ma przecięte gardło....

Spojrzałem na córkę, stała ze spuszczoną głową i trzęsła się, po chwili podniosła zmienioną twarz i powiedziała „Zemściłam się“.

Odwróciła się i poszła przed siebie, w górskie pustkowie.

Tadeusz Ilczewski



OTWARCIE SZKOŁY PODOFICERSKIEJ

23.IX. 1936 r. odbyło się uroczyste otwarcie podoficerskiej szkoły pułku artylerii ciężkiej im. króla Stefana Batorego, do której wybrani zostali, jak słusznie zaznaczył dowódca pułku, najlepsi kanonierzy z całego pułku.

Uroczystość rozpoczęła się odprawieniem nabożeństwa. Ksiądz kapelan w gorących słowach zachęcał nas do twardej i odpowiedzialnej żołnierskiej pracy, jaka czeka nas w szkole podoficerskiej, oraz po wyjściu z niej nad szkoleniem swych kolegów z młodszego rocznika, do czego się najwięcej w szkole będziemy zaprawiać.

Następnie udaliśmy się na cmentarz wojskowy Rossa, gdzie po złożeniu hołdu pamięci Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, złożyliśmy uroczyste ślubowanie przed Jego Sercem, spoczywającym na tym cmentarzu pośród setek mogił poległych obrońców Ziemi Wileńskiej i miasta Wilna. Ślubując w podniosłych słowach przyrzekliśmy stać się godnymi noszenia munduru podoficera armii polskiej, przez Niego stworzonej.

W koszarach dowódca pułku przed zawieszeniem flagi państwowej szeroko omówił znaczenie i cel naszej szkoły. Po odśpiewaniu Roty „Nie rzucim ziemi“... odbył się wspólny obiad w odświętnej umajonej świetlicy.

Kan. Czesław Wróblewski

DELEGACJA PUŁKU SZWOLEŻERÓW

28 listopada 1936 r. przybyła do Wilna delegacja korpusu oficerskiego i podoficerskiego pułku szwoleżerów im. Józefa Piłsudskiego z dowódcą pułku na czele, celem wręczenia odznaki pułkowej pułkowi artylerii lekkiej Legionów.

Na placu ćwiczeń nowych koszar Tuskulańskich stanął p.a.l. Legionów w szyku zaprzężonym z pocztm trąbkowym i orkiestrą.

W południe przybyła do koszar delegacja w asyście dowódcy p.a.l. Leg. — powitana w bramie przez oficerów i podoficerów.

Na sygnał trębacza orkiestra gra „Pierwszą Brygadę“ — delegacja zbliża się do stołu, przybranego zielenią.

Prezentowanie broni — raport przyjmuje dowódca pułku szwoleżerów.

Następuje chwila skupienia.

Dowódca p. szwoleżerów po krótkiej przemowie wręcza dowódcy p.a.l. Leg. odznakę. Orkiestra gra marsz p. szwoleżerów.

Dowódcy obu pułków składają sobie symboliczny pocałunek.

Delegacja szwoleżerów wznosi okrzyk na cześć p.a.l. Leg. Orkiestra gra „Pierwszą Brygadę“.

Następnie przemówił do swoich żołnierzy dowódca pułku, podkreślając wielkie znaczenie połączenia się pułku z rodziną szwoleżerów i braterstwo najstarszych pułków w Polsce, związanych tradycją walk o niepodległość.

— Uroczystość dzisiejsza — mówił dowódca pułku — jest tym większa, że prócz oficerów, podoficerów i szeregowców służby czynnej są na niej obecni będący na ćwiczeniach rezerwiści.

Zwracając się do dowódcy pułku szwoleżerów i delegacji, w serdecznych słowach podziękował za pamięć i wręczoną pamiątkową odznakę.

Następnie dowódca p.a.l. Leg. zwrócił się do swoich żołnierzy z następującymi słowami:

— Wzywam was, żołnierze pułku artylerii lekkiej Legionów, abyście tu, w Wilnie, na cześć pułku szwoleżerów wzniesli tak gromki okrzyk „Niech żyją“, aby był słyszany w Warszawie!

Nastąpiło trzykrotne „Niech żyją“, orkiestra odegrała marsz p. szwoleżerów.

Po skromnym przyjęciu delegacji w kasynach oficerskim i podoficerskim, wieczorem delegacja odjechała do Warszawy, serdecznie żegnana na dworcu przez oficerów i podoficerów p.a.l. Leg.

J. C.

ŚW. MIKOŁAJ W RZESZOWSKIM PUŁKU

6 grudnia 1936 roku zawitał w gościnne progi naszego pułku św. Mikołaj. Uroczystość ta przy szczelnie wypełnionej sali, w której zebrał się cały prawie pułk, odbyła się w żołnierskim kinie „Henryka“.

Święty Mikołaj stary rocznik, jak i rekrutów obdarzał, czym tylko mógł. Pilnemu dostała się kiełbasa, tytoń, pasta do trzewików oraz przybory codziennego użytku.

Takiemu, co zawsze głodny, dostał się metrowej długości chleb z dokładką wędzonki, biedakowi, udającemu, że ma krótszą nogę, szewc zrobił taki obcasik (który mu ofiarował św. Mikołaj), że ledwo doniósł go do koszar; takiemu, co to go niby stale boli żołądek św. Mikołaj dał receptę oraz pokrywę z baniaka, by w wolnym od zajęć czasie mógł gorącą pokrywą grzać żołądek, słowem każdemu coś się dostało, nikogo święty nie ominął. Pamiętał nawet o takim biedaku z nowego rocznika, który przez pomyłkę czyści cudze karabiny. Jemu święty Mikołaj wypisał takie numery karabina, że chłopisko będzie zawsze już pamiętał swój numer.

Wiara uśmieła się co niemiara, a czas mile spędzono przy dźwiękach orkiestry pułkowej. Święty Mikołaj, biedaczysko, miał tylko jednego aniołka ze sobą, z powodu kryzysu nie stać go było na drugiego, no a diabła w ogóle nie było, bo wyjechał do Hiszpanii.

A gdy przy zakończeniu uroczystości, święty Mikołaj gromkim okrzykiem zęgnął żołnierzy słowami „Czołem, żołnierze“, cały młody rocznik ryknął jak jeden mąż „Czołem, panie Mikołaju!“, co wywołało salwy śmiechu na sali.

M. T. C.

ZAPRZYŚIĘŻENIE REKRUTÓW W ŁOWICZU

W ostatnim tygodniu wrzało szczególnie w naszej kompanii. Jej „ojciec, matka i starsi bracia“ starali się podciągnąć wszystko, co szło kulawo i co czuć było rekrutem.

Nic dziwnego: 13 grudnia, to dzień publicznego zadokumentowania wierności Bogu i Ojczyźnie.

Wierności Bogu, który od wieków zawsze wiernie trzymał naród swą wszechmocną prawicą, i nie dopuszczał nań nieszczęść — jeśli się pozwolił prowadzić.



Dowódca szwadronu k. m. ułanów Małopolskich wręcza książeczkę P. K. O. ułanom, życząc im, by zdobyli I miejsce w konkursie żołnierskim.

nadesłał wachm. *P. Kamiński*

Wierności ojczyźnie, z której praw korzystamy. Wobec której czujemy się dłużnikami, ten dług spłacać chcemy wiernym wypełnianiem naszych obowiązków.

Więc wszyscy, będąc uświadomieni o ważności chwili, z bronią w ręku, z powagą na obliczu wymawiali słowa przysięgi.

Z defilady wróciliśmy do koszar już jako strzelcy.

strz. Waldemar Wicha

SŁUŻBA I ŻYCIE ŻOŁNIERZY K.O.P.

Z SERCEM NA WIEŚ

Do kancelarii wszedł nasz dowódca i zwrócił się do mnie ze słowami:

— Jadę z żoną do Sitnicy, pojedzie pan z nami. Mieszka tam nędzarz z czworgiem dzieci, musimy się nim zająć. Straszna tam bieda, widziałem to...

Dobra twarz dowódcy posępnije.

Wyszedł.

O oznaczonej godzinie ruszyliśmy do wsi Sitnica, oddalanej od miejsca naszego postoju o pewną ilość kilometrów. Mijamy wieś Sienkiewiczze, tor kolejowy i kierujemy się na wschód drogą prawdziwie poleską. Zaraz za stacją wjeżdżamy w las, który się ciągnie aż do samej granicy. Jest dość ciepło, wokół panuje cisza, od czasu do czasu przerywana krzykiem jakiegoś ptaka.

Konie się grzeją, jedziemy wolno.

Po przeszło godzinnej jeździe dobijamy do celu. Niedaleko od toru kolejowego w pewnym oddaleniu od wsi Sitnica stoi chatynka, która swym wyglądem robi wrażenie raczej budy. Wschodni bok tej chatki zapada się w ziemię, jedyne maleńkie okienko, takie, które zaledwie przepuszcza trochę światła dziennego, znajduje się od strony północnej, dotykając swym dolnym końcem ziemi.

Dach... tego zupełnie nie ma. Coś tam rzucono, parę kawałków drzewa i coś, co było kiedyś deskami.

Wokół chatki pustka, dalej las i to wszystko. Z daleka już wieje nędzą.

Wysiadłszy, zauważyliśmy przed chatką stojącego jakiegoś małego, bosego, nędznego i obrośniętego człowieka, który naszym widokiem zdaje się być zdziwiony.

Zza uchylonych drzwi wychylają się dwie ciekawe mizerne i żółte twarzyczki chłopców.

Pomaleńku podążamy ku stojącemu człowiekowi.

— Dzień dobry! — rzuca dowódca. — Przyjechaliśmy Was odwiedzić i przywieźliśmy Wam trochę artykułów żywnościowych.

Chłopina coś odpowiada, co robi wrażenie, że wykrztusił „Bóg zapłać“ i na tym koniec.

Tymczasem żona dowódcy znalazła się w środku chatki, skąd po pewnej chwili wyszła, ale już nie taka jak przedtem, jest zmieniona.

Zabiera nas do środka chaty.

To co zobaczyłem pozostanie w mej pamięci na długi czas, na zawsze...

Nie wiem, czy środek tej chaty nazwać izbą, czy też inaczej, bo to co ujrzeliśmy — to coś strasznego, wiejącego wilgocią i okropnym za-

duchem, co nie pozwala oddychać i szczypie w oczy, co siłą swą wypychać się stara człowieka z powrotem.

Tu mieszkają ludzie.

Legowisko to nie posiada więcej jak 7 metrów kwadratowych i jest bez podłogi.

Koło ścian stoją zbite z desek dwa wąskie wyrka, na których znajduje się trochę mokrej słomy, przykrytej brudnymi szmatami, pod okienkiem coś takiego, co było kiedyś małym kufierkiem, na ścianach parę przyklepionych, brudnych wycinanek z dodatków ilustrowanych jakichś starych gazet. Przy samych drzwiach przyklepiona do ściany kuchnia, a raczej coś zlepionego z cegieł i gliny, bez drzwiczek i blachy, coś takiego, na czym się gotuje strawę i zimą opala się legowisko.

Od pułapu zwisa na sznurach kołyska — koszyk; obok niej siedzi małe, mizerne, obdarte i brudne dziewczątko.

Pod jedną ze ścian, przy wyrku stoją boso dwaj mizerni, żłarci matarią chłopcy. Oczy mają mętne — widać, że są chorzy.

Nędza.

Żona dowódcy nachyla się nad kołyską, odchyla szmaty i... widać, jak po twarzy Pani płyną łzy.

A jest czego płakać, bo w kołysce leży mały człowiek — nędza, dziecko suche, żółte - zielone, o twarzy starczej, w usteczkach brudna szmata. Ciało oblepione brudem, cuchnie.

Pani wyrzuca z usteczek brudną szmatę, w której znajdował się... kawałek kartofla, myje, przewija i kładzie czyste maleństwo do kołyski.

Nie mogę dłużej patrzeć. Wychodzę.

Po pewnej chwili wychodzi i dowódca, który podążył wprost do bryczki, kazał zdjąć skrzynkę i po otwarciu wyjął produkty, oddając je stojącemu ojcu biednej gromadki.

Chłopisko dziękuje i powiada, że jego dzieciaki będą miały przez kilka dni co jeść, a on się tak martwił, że chyba już przyjdzie z głodu zdechnąć, gdyż nie ma gdzie zarobić, ale co będzie dalej — nie wie. Najbardziej martwi się o to małe, co jest w kołysce, gdyż żona mu zmarła przy dziecku i on wraz ze starszymi dziećkami jak umie, tak to maleństwo wychowuje. Dziecko już od szeregu tygodni nie widziało mleka. Trzeba karmić i przyrodzić starsze dzieci, a tu nie ma kawałka własnej ziemi. Pracuje w smolarni i jak zarobi 6 — 7 zł. tygodniowo to jest wielkie święto i żeby ten zarobek był stale — byłoby pół biedy, ale praca jest dorywcza. Ludzie są źli, bo kiedy się miał dobrze, można było zarobić, znali ich, a dzisiaj stronią i nie nie pomagają.

Oj, ciężko żyć...

Dalej powiada, że przybył na Polesie z głębi kraju lat temu kilkanaście, a że dobrze mu się powiodło więc został, a teraz to już i nie ma

poco wracać — zostanie. Chce tylko wychować dzieci na dobrych obywateli kraju.

Przestał mówić, skurczył się, widać zmęczenie na twarzy biedaka.

— Od dnia dzisiejszego bierzemy Was pod swoją opiekę — odezwał się nasz dowódca. — Opiekować się będziemy w takich ramach, na jakie nas stać. Zgłosicie się do Sienkiewicz po pieniądze na zrobienie dachu oraz otrzymywać będziecie artykuły żywnościowe. Dostaniecie ubranka, a może i trzewiki dla dzieci.

— A pilnujcie i utrzymujcie maleństwo w czystości, karmiąc je mlekiem. Bierzcie mleko z wioski na nasz rachunek. Nie zapominajcie też i o starszych dzieciach, pocieszcie się, będzie Wam teraz lepiej — zwróciła się tymi słowy Pani do biedaka.

Postać jego jeszcze bardziej zdawała się być skurczona. Ze zdziwieniem i niedowierzaniem patrzył na nas, stojących w pobliżu niego.

I naraz rozjaśnił twarz. Lekko wyprostował się i widać, że coś myśli, coś chce powiedzieć, robi ruch ustami, coś mówi do siebie, jednak brak mu sił, jest oszołomiony tym, co go spotkało.

Podszedł bliżej i powiedział:

— Niech państwu Pan Bóg stokrotnie wynagrodzi.

— Bądźcie dobrej myśli — powiedział oficer wsiadając do bryczki.

Odjechaliśmy.

I biedaczysko drepcze każdego tygodnia do Sienkiewicz, skąd powracając do swej chatki niesie całą masę różnych artykułów żywnościowych, które jemu i dzieciarni dają możliwość przetrwania.

Dziś już śmieiej patrzy w przyszłość, bo wie, że jednak nie wszyscy ludzie są źli, nie wszyscy myślą tylko o sobie, ale są i tacy, którzy myślą i dążą do ulżenia niedoli takim właśnie jak on.

A chatka ma już dach i zda się być weselszą.

L.



W takich namiotach obozują zarówno członkowie p. w., jak i harcerze. Liczne obozy harcerskie co roku goszczą na obszarach, które są pod zasięgiem wpływów K. O. P.

CO SŁYCHAĆ?

ZMARLI

18.I zmarł **Ryszard Bolesławski**, słynny na cały świat reżyser filmowy z Hollywood (Stany Zjedn.).

Ś. p. Bolesławski był oficerem 1 pułku ułanów Krechowieckich i brał czynny udział w walkach o niepodległość. Jego prawdziwe nazwisko brzmi Ryszard Szrednicki.

Żyjąc wspomnieniami najmilszej mu przeszłości, wydał w języku angielskim książkę p. t. „Droga ułana“. Książka ta rozeszła się w setkach tysięcy egzemplarzy po Ameryce i została przetłumaczona na wiele języków europejskich. Gloryfikuje ona bohaterskość polskiego ułana, a autorowi przysporzyła wielkiej sławy.

*

19.I. zmarła w Warszawie wybitna artystka dramatyczna ś. p. **Honorata Leszczyńska**.

Odznaczona była krzyżem oficerskim orderu „Polonia restituta“ i zaliczoną została w poczet członków zasłużonych ZASP. (Zw. Artystów Scen Polskich).

KATASTROFA KOLEJOWA

15.I na stacji kolejowej Mysłowice wydarzyła się katastrofa pociągu osobowego.

Spod rozbitych wagonów wydobyto 6 zabitych, w tym konduktora bagażowego Tymora oraz 5 poróżnionych, których nazwiska nie zostały ustalone, 17 osób ciężko rannych i 25 osób lżej rannych.

OFIARNOŚĆ SPOŁECZEŃSTWA NA F.O.N.

Związek Rezerwistów i b. Wojskowych oraz Rodziny Wojskowe we Francji przesłały na Fundusz Obrony Narodowej następujące ofiary: 6.915 franków fr. (1725 zł.) w gotówce, 50 zł. w obligacji Pożyczki Narodowej i 6 zł. w kuponach Pożyczki Konwersyjnej.

*

Oto jeszcze jeden dowód ofiarności, świadczący o wielkim patriotyzmie Polaków za granicą. Klub Pań „Chicago“ wpłacił 100 dolarów, Towarzystwo „Nadwiślańskie“ grupa 759 Związku Narciarstwa Polskiego 25 dol., Pani R. Cyrek 1 dolar i Polsko - Amerykański Klub Handlowy 50 dol., przekazując całą gotówkę przez Konsulat Generalny R. P. w Chicago na F.O.N.

*

Wytwórnia Maszyn Precyzyjnych „Avia“, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 7, w imieniu zarządu firmy deklaruje na Fundusz Obrony Narodowej bezinteresownie dostawę 5 silników lotniczych „Wright“ 220 KM. (wartość jednego silnika około 30 tysięcy zł.).

Ponadto ogół współpracowników na zebraniu uchwalili przysłać się do powyższej uchwały zarządu i zgłasza, jako ofiarę od siebie, jeden silnik „Wright“ również tej samej wartości.

NAGRODY M. LWOWA

Nagrodę naukową m. Lwowa im. Benedykta Dybowskiego przyznano jednomyślną uchwałą profesorowi Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie dr Rudolfowi Weiglowi za całokształt działalności w dziedzinie przyrodniczej.

Nagrodę literacką w kwocie 2.500 zł. przyznano prof. Edwardowi Porębowiczowi za całokształt działalności literackiej.

Nagrodę naukową m. Lwowa im. Karola Szajnochy przyznano dr Fryderykowi Papee.

NARCIARZE NA HUCULSZCZYZNĘ!

IV marsz zimowy huculskim szlakiem II Brygady Legionów odbędzie się w czasie od 11 — 14 lutego. 10 lutego odbędą się w Rafajłowej badania lekarskie, losowanie numerów, odprawa zawodników, 11. II. pierwszy etap: Rafajłowa — Przełęcz Pantyrska — Rafajłowa, 12. II. drugi etap: Rafajłowa — Jablonica, 13. II. ostatni etap: Jablonica — Worochta, połączony ze strzelaniem, 14. II. uroczystość pod Krzyżem Legionów i rozdanie nagród.

W marszu startować będą: w klasie I (patroli wojskowych) po 2 patrole na OK, ponadto po 1 z oddziałów górskich, 2 z żandarmerii, po 3 z KOP, Pol. Państw. i Straży Gran., wreszcie patrole formacyj, które uprzednio zdobyły nagrody przechodnie: w klasie II (patroli cywilnych) Zw. Strzelecki może zgłosić po 1 patrolu na okręg lub podokręg, razem 10, Zw. Rez. — 6, KPW, PPW i PW Leśników po 3, P. Z. Narc. po 3 na okręg. Patrole miejscowe i regionalne startują bez ograniczeń.

Żadna formacja wojskowa, oddział p.w. czy klub sportowy nie mogą być reprezentowane przez więcej niż 1 patrol.

Urna z ziemią z pobojowisk 6 p. a. l., złożona w dniu święta pułkowego 22.V na kopcu sowinieckim.

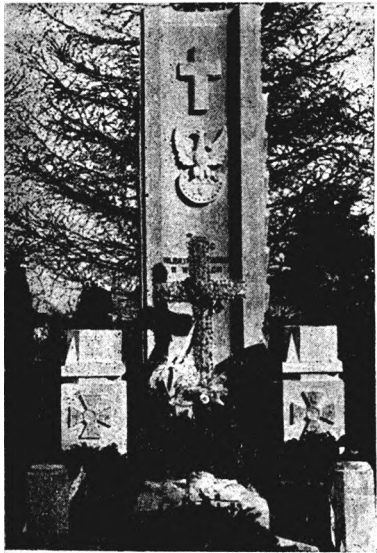
SNIEŻYCE W DANII

19.I w Danii huragano- wy wicher, połączony z olbrzymimi zamieciai śnieżnymi, doprowadził do przerwania komunikacji kolejowej i autobusowej. Jutlandia i Fuenan są olbrzymimi zwałami śniegu, dochodzącymi do 20 m wysokości, całkowicie odcięte od świata.

OLBRZYMI POŻAR

W chłodniach miejskich przy wybrzeżu portowym w Melbourne (Australia) wybuchł olbrzymi pożar, którego pastwą padło tyśiące tonn mrożonego mięsa, masła i produktów na-





1.X.36 poświęcony został pomnik, wystawiony staraniem oddziału Zw. Legionistów Polskich w Białej.

ny pisma francuskie donoszą, że w samej Francji do wojsk rządowych do 10.I. zwerbowano 47 tysięcy ludzi: Francuzów, emigrantów Niemców i Włochów, Belgów, Serbów, Czechów, Anglików, a nawet Polaków. Prócz tego przybywają b. liczni komuniści z Rosji Sowieckiej.

KONKURS MUZYCZNY

Na III Międzynarodowy konkurs im. Fryderyka Chopina na ogólną ilość około 200 zgłoszeń przyjęto 105 uczestników, reprezentujących 21 państw: Anglia, Austria, Belgia, Bułgaria, Czechosłowacja, Estonia, Finlandia, Grecja, Holandia, Włochy, Japonia, Jugosławia, Łotwa, Niemcy, Polska, Rumunia, Stany Zjednoczone, Szwajcaria, Węgry i Sowiety.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

st. sap. J. Gł. w Modli.: Cóż z tego, że pan pisywał artykuły do innych pism, kiedy ten „nie trzyma się kupy”? Pisze Pan dla czytelnika - żołnierza, człowieka z wykształceniem częstokroć tak niedostatecznym, używając takich określeń: „szybkie tempo realizacji”, „reasumując solidarnie”, „majątek bilansowy” i t. p. Wzywa Pan do składek na pancernik(!), kiedy prowadzona od kilku lat zbiórka na łódź podwodną nie jest jeszcze zakończona... Artykułu nie zamieścimy.

strz. Książek w bat. mor.: Prosimy o podanie imienia, aby przekazać Panu honorarium autorskie.

szer. P. Dubicki, Wilno: Jak Pan widzi korespondencję Pana zamieściliśmy. Prosimy o dalszą współpracę.

kapr. rez. J. Bań. w Górcie: Byłaby to dobra rzecz, to opowiadanie „Strz. Kuba na urlopie”, ale wstęp za długi; poza tym skoro Pan tak szczegółowo wylicza wszystkie dziewczęta, biorące udział w zabawie, pozwała spodziewać się czytelnikowi, że coś z tego będzie, że są one autorowi potrzebne w toku akcji. Tymczasem nic z tego. Raz „sympatię” Kuby nazywa Pan Nastką, innym razem Kazią. Która z nich panuje w jego sercu? Na zabawie Kuba opowiada kolegom różne rzeczy, których oni słuchają „z wyłupiastymi oczyma”. A gdzie wiadomości ze szkoły powszechnej?

białowych. Straty wynoszą około 13 milionów złotych. Pożar był tak gwałtowny, że z trudem udało się uratować stojące w pobliżu statki.

CUDZOZIEMCY WALCZĄ W HISZPANII

W poprzednim numerze „Z. P.” pisaliśmy o napływie ochotników do wojsk powstańczych. Ale i po stronie republikanów (rządowej) walczą — i to dzielnie — brygady międzynarodowe. Ilość cudzoziemców w szeregach wojsk rządowych obliczana jest na 40 tysięcy (u powstańców podobno około 32 tysięcy). Z drugiej stro-

szkoda, że Pan nie opisał dokładnie przebiegu zabawy wiejskiej, nie siląc się na pełne morałów zakończenie. Prosimy o dalsze, lepsze próby.

p. J. M. Orł. w Jan. Dol.: „W wieczór wigilijny” nadziedł już po skompletowaniu świątecznego numeru. Zatrzymamy chyba do przyszłego roku?



REDAKCJA ODPOWIEDZI LISTOWNYCH NIE UDZIELA

10. Kapr. P... Józef, Jarosław. — Podoficerowie nadterminowi nie mogą ubiegać się o przyjęcie do szkoły podchorążych dla podoficerów. Przyjęci mogą być tylko podoficerowie zawodowi. Jeżeli chodzi o warunek wykształcenia, to kandydaci do wymienionej szkoły muszą posiadać świadectwo z ukończenia 6 klas gimnazjum, a jeżeli takiego świadectwa nie posiadają, muszą zdać egzamin w zakresie 6 klas gimnazjum matematyczno-przyrodniczego przed komisją egzaminacyjną przy szkole podchorążych dla podoficerów.

11. Czytelnik, Poznań. — 1) W myśl ustawy o powszechnym obowiązku wojskowym z powodu powołania do czynnej służby wojskowej umowa o pracę nie może być przez pracodawcę wypowiedziana ani rozwiązana, o ile stosunek służbowy w chwili powołania trwał nieprzerwanie co najmniej sześć miesięcy. Postanowienia te odnoszą się także do ochotników, którzy czynną służbę odbywają na skutek ochotniczego zgłoszenia się do tej służby. Z powyższego wynika, że pracodawca jest obowiązany przyjąć Pana na poprzednie stanowisko, o ile zgłosi się Pan najpóźniej w ciągu 2 tygodni od chwili zwolnienia ze służby wojskowej i zakład pracy nadal istnieje. Okoliczność, że na miejsce Pana przyjęty został inny pracownik, nie ma znaczenia i nie może uszczuplać ustawowo przyznanych praw. Zasilek nie przysługuje. 2) Koszty przejazdu na urlop odpłacają żołnierze zasadniczo z własnych funduszy według taryfy wojskowej na podstawie karty urlopowej, zgodnie z przepisami „Transporty”, P. S. 245 — 10, § 113.

12. Kapr. Karw... Czesław, Nowe - Święciany. — Takich formacji policji państwowej nie ma. W myśl obowiązujących przepisów można ubiegać się o przyjęcie do policji państwowej dopiero po odbyciu co najmniej dwuletniej służby nadterminowej. Jest zupełnie wykluczone, aby przyjęcie do policji mogło nastąpić w czasie odbywania obowiązkowej służby czynnej.

13. Ciekawy kaprl. nadt., Przemysł. — Straży celnej nie ma. Jest straż graniczna. Prośby o przyjęcie nie można kierować bezpośrednio. Trzeba ją przedstawić w drodze służbowej do D.O.K.

14. Strz. Zielński Władysław, Baranowicze. — Przeniesienie jest ze względów służbowych niemożliwe. Prośby są bezcelowe.

15. Strz. Woszczyk Lucjan, Skierniewice. — Pobyt w ochotniczych drużynach junackich nie może być zaliczony na początek obowiązkowej służby czynnej. Brak podstaw prawnych do tego w ustawie o powszechnym obowiązku wojskowym. W razie posiadania świadectwa z ukończenia II stopnia p.w. przysługują ulgi w służbie wojskowej na ogólnych zasadach.

16. „Zainteresowany”, Dawidgródek. — Kursy takie są organizowane dla nadterminowych przez władze wojskowe. Warunki przyjęć nie są nigdzie ogłoszone. Kandydaci zgłaszają się każdorazowo po ogłoszeniu odpowiedniego rozkazu w pułku.

17. Strz. Niemiec Fr., Równe. — Trzeba bliżej określić o jakie szkoły dla kolejarzy Panu chodzi. Zapytanie jest niezrozumiałe.

A TO CIEKAWE! (AFRYKA MÓWI)



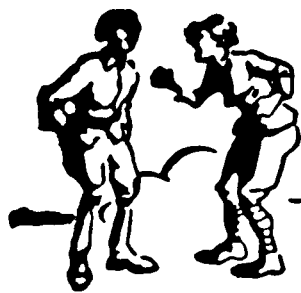
Arab i jego dzieci (na lewo). Oaza, czyli miejsce w pustyni, gdzie jest woda i rosną palmy, to jedyny ośrodek życia w tych krajach, spalanych niełitościwym słońcem. Na obrazku widzimy kilkoro dzieciaków z plemienia Berberów. Jest tam zwyczaj podgalańcia głowy, tak że kępka włosów rośnie jedynie na jej czubku (po środku). Oddział strzelców tubylczych, tak zwanych „goumiers“ przechodzi przez oazę (na prawo).



Czyżby przyjaźń? Wzruszająco wygląda to ufne zarzucenie rąk małpy na szyję białego kolonisty w Afryce (na lewo). Sławne na cały świat wodospady na rzece Zambezi, odkryte przez znanego podróżnika Livingstone'a. Ołbrzymie masy wody spadają z wysokości 1000 stóp (po środku). A tak wygląda miasto Wadi Duan o stromych nie-
P. Ph. R. prawdopodobnie uliczkach i domach wrośniętych w skały (na prawo).



Modnisie z plemienia Masajów w angielskiej kolonii Uganda (na lewo). Tubylcze oddziały włoskie w Somali jeżdżą na wielbłądach, tych „okrętach pustyni“.
P. Ph. R.



Śmieję się, bracie - będziesz zdrowszy!

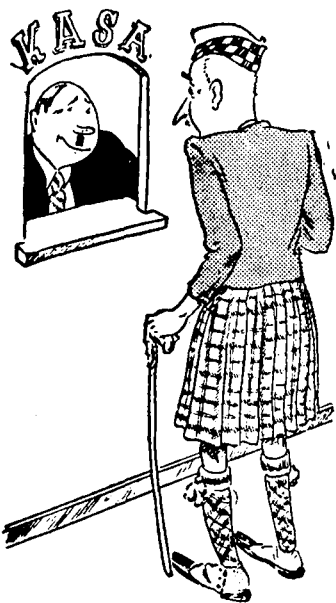
UMIAŁEM JAK DOBRY ŻOŁNIERZ ŚMIAĆ SIĘ WESOŁO, GDY ŻYCIU NIEBEZPIECZEŃSTWO GROZIŁO.
J. Piłsudski, (5.IX.1924).

KOLEDNICY U JEZUITÓW

Do bram klasztoru zapukali kolednicy, znani w okolicy wydrwigrosze. Otwiera im młody ojciec zakonny.

- Czego chcecie — pyta. — Kim jesteście?
- My? Towarzysze Chrystusa.
- Przy urodzeniu czy po śmierci?
- Przy urodzeniu, — powiada jeden.
- A to wół i osioł — rzece zakonnik.
- Nie, przy śmierci — poprawia drugi.
- O, to dwaj łotrzy! — zakrzyknął jezuita i bramę zatrzęsął.

SZKOCKA PRZEZORNOSC



- Chciałbym jechać do Afryki.
- Czy mam panu podać ceny biletów okrętowych?
- Nie, chcę się tylko dowiedzieć, na których okrętach odliczają pasażerom obiad podczas choroby morskiej!

DO KOGO PODOBNY?



Pewnego dnia car Mikołaj I spotkał na ulicy studenta ubranego nieprzepisowo. Student powracał z jakiejś świątecznej libacji, czapkę miał na bakier, palto zarzucone niedbale na ramiona. Car zatrzymał go i zapytał surowo:

— Do kogo ty jesteś podobny?

Student na widok cara przeląkł się i odpowiedział jękając:

— Do ma-mu-si!

WPLYW WSCHODNIEGO OBYWATELSTWA

Po ostatnim rozbiórce Polski Bułhakow, gubernator litewski, doprowadzał w Wilnie szlachtę do przysięgi na wierność Katarzynie II. Po tej ceremonii był wielki oficjalny obiad u Bułhakowa. Marszałek Brzostowski siedział obok niego, a był z nim od dawna zażyły. Podczas obiadu Brzostowski coraz to łyżkę, to nóż lub widelec srebrny niby skrycie to za pazuchę, to do kieszeni kłaseć zaczął.

— Co to robisz, hrabio? — rzekł mu zdziwiony Bułhakow.

— Ach, panie gubernatorze — odrzekł Brzostowski — to rzecz szczególna: jak się już tylko człowiek zrobił rosyjskim poddanym, ot tak i ręce świerzbią, żeby co ukraść!...

PRZED WESOLYM PLUTONEM — ZWIEJE SMUTNY BATALION

Redaktor: ADAM KOWALSKI kpt. Z-ca redaktora: J. K. MACIEJEWSKI

Redakcja: Warszawa, ul. Nowy Świat 23—25.
Tel. 297-54.

Administracja: Warszawa, Nowy Świat 23/25.
Tel. 522-82.

PRZEDPŁATA: rocznie 9 zł. półrocz. 5 zł. kwartal. 2.60 mies. 1 zł. Dla szeregowych i rezerwistów mies. 0.80 zł.
Wpłacać należy w urzędach pocztowych lub listonoszowi. Zagranicą: rocznie 15 zł., półrocznie 7.50 zł.
Rękopisów, zdjęć i rysunków, nadesłanych do Redakcji nie zwraca się.

CENA 50 GR.

Druk. Zakł. Graf. „Bluszcz”, Warszawa, Solec 87. Klisze Chemigr. „Lux”.